Korespondencya Karola Szajnochy z Karolem Wildem.

(W 100 rocznicę urodzin, a 50-tą śmierci znakomitego historyka).

Nieznane listy Karola Szajnochy, zawarte w zbiorze niniejszym, pochodzą z papierów po Karolu Wildzie, zasłużonym ongi wydawcy i właścicielu księgarni we Lwowie. Karol Szajnocha pozostawał z Wildem w ożywionych stosunkach przyjacielskich przez cały czas swej działalności naukowej. Wild był wydawcą wszystkich prac znakomitego historyka, a niejednokrotnie i serdecznym powiernikiem trosk, w które tak bardzo obfitowało życie ociemniałego pisarza. Najbujniejszy okres jego pracy przypada na lata 1852—1868, z tego też czasu pochodzą listy, które ogłaszamy. Pisze je naprzód młody, pełen zapału historyk, przystępujący do pracy literackiej, pisze je później sławny i głośny uczony, a wreszcie złamany cierpieniem męczennik. Uwidocznia to także forma zewnętrzna. Pewny i okrągły dukt pisma ustąpi w ciągu lat miejsca trzęsącym się i niekształtnym literkom, stawianym z trudnością ręką niewidomego na linijkach specyalnego przyrządu, który dotąd dochował się w zbiorach Muzeum im. Lubomirskich. Ze Lwowa, gdzie stale mieszkał, z Truskawca, Smolnicy i Korczyna, gdzie wyjeżdżał na wakacye, datowane są te listy, stanowiące nietylko pierwszorzędnej wagi źródło dla poznania jego osoby, ale także materyał do zaznajomienia się z ówczesnymi stosunkami literackimi Lwowa.

W przypiskach pomieszczamy wyjaśnienia potrzebne, oraz bliższe informacye co do poruszonych spraw i osób. W końcu zaznaczyć trzeba, że z listów niniejszych, w bardzo skąpej zresztą mierze, korzystał Klemens Kantecki, pisząc biografię Szajnochy, pomieszczoną w X. tomie jego dzieł.

I.

Truskawiec, 11 lipca 1853.

Kochany Karolu! Chcąc pożegnać się z Tobą we Lwowie, dowiedziałem się o Twojej febrze. Dziś, chcąc się dowiedzieć o Twojem zdrowiu i zapełnić lukę nie-pożegnania się, lękam się przyjść nie w porę, to jest w porę paroxyzmu, z korespondencyą moją. Otoczony jednakże tak kochającą i liczną starannością i troskliwością, jużeś zapewne, mam nadzieję, pozbył się febry i wypoczywasz na łonie familii po dreszczach i gorączkach.

Zresztą, choćbyś (uchowaj Boże) nie przyszedł jeszcze całkiem do stanu normalnego: lepiej (wierzaj) mieć febrę pomiędzy swymi, niż nie mieć nawet febry — bez swoich. Tym zwrotem chciałbym wodę spółczucia skierować na młyn mojego biednego individuum, utrapionego wszelkiemi dolegliwościami pobytu kąpielowego w czasie słotnym. Wiesz ponoś, że powziąwszy wiadomość o jednakiej dla mnie skuteczności wód Lubieńskich a Truskawieckich, przeniosłem okolicę Truskawiecką nad nudny, pusty Lubień, i tu od dni dziewięciu kąpię się, piję wodę tutejszą, podobną nieco do Marienbadzkiej, i o ile niebo niepogodne pozwala, używam świeżego powietrza lasów i pól.

Wszystko to byłoby znośnem poniekąd, gdyby nie ciągłe prawie deszcze i niezbędna potrzeba styczności z niezabawnem dla mnie towarzystwem kąpielowem. Jużto ono wprawdzie stara się ująć mi połączonych z tą potrzebą przykrości, unikając pilnie wszelkiego spotkania się z literatem. To niefortunne stworzenie, niezbyt pożądane w każdym czasie i miejscu, jest zwłaszcza w kąpielach przedmiotem prawdziwego lęku i wstrętu. Jakgdyby bowiem wszyscy kąpielowi spoczywali tu po olbrzymich wysileniach i znojach umysłowych — nie usłyszysz tu trzech słów, z których jedno nie zawierałoby przestrogi najsurowszej: nie natężać umysłu. Ztąd sam widok literata grozi poniekąd niebezpieczeństwem i bywa

starannie omijany. Z tem wszystkiem niepodobna uniknąć spotkania i rozmowy przy źródle i u stołu obiadowego, na spacerze. — a to nie dodaję bynajmniej smaku ani źródłu, ani obiadowi, ani przechadzce. Wracam tedy zawsze coprędzej do swego pokoiku ustronnego, cichego, z przyjemnym zielonym widokiem, i przeglądam Szkice historyczne, które mamy drukować.

Tysięczne zabiegi przed wyjazdem nie dopuściły przeglądu tego we Lwowie, — przeto wyjechałem, nie zostawiwszy manuskryptu. Żadnej to zapewne (przy Twojem niezdrowiu) nie sprawiło różnicy. I nie będziesz zapewne w ambarasie, jeźli manuskrypt dopiero wraz ze mną, t. j. około 15 sierpnia, we Lwowie w pogotowiu się znajdzie. Gdyby jednak zależało Ci na tem mieć go wcześniej do druku, tedy donieś mi tylko jednem słówkiem, a nadeszlę Ci pierwszych kilka arkuszy, które już od tygodnia są poprawione i spakowane do odesłania. Adres listu do mnie: K. Sz. w Truskawcu. Choćbym, jak zamierzam, wyjechał na jakiś czas do Żurawna, doszłaby mię wszelka korespondencya. Tylko w razie takiej potrzeby rzuć mi słów kilka. Zresztą, ze względu na Twoje zatrudnienia i przechadzki zarogatkowe i rozrywki domowe, uwalniam Cię od obowiązku odpowiedzi na list niniejszy.

Aby zaś w liście tym zawrzeć jakąś wiadomość dla większej publiczności, nadmienię z Truskawca o Truskawcu, że mamy tu gości wcale nie wiele, że niewielka ta liczba umniejsza się jeszcze bardziej dzieleniem się całego towarzystwa (jak zwykle) w osobne małe koterye, — że koniec końcem wcale umiarkowanie bawimy się. Mimo tego wszystkiego bywają co wieczór powszechne reuniony na sali, gra cygańska muzyka i tańczy z przekonania par kilka. Ta ostatnia okoliczność jest prawdziwym kłopotem dla niektórych rzeczywistych pacyentów, ile że mieszkający nad niemi, na wyższem piętrze, żydzi i żydówki, uczą się z tego powodu po całych nocach kadrylów, mazurów i t. d., nie dając spać sąsiadom i otrząsając wszystek tynk z świeżo pobielonych sufitów, a nawet same budynki do niemałego przywodząc niebezpieczeństwa.

W ogólności, żydów i księży najwięcej tego roku w Truskawcu, co także nie przyczynia się do uprzyjemnienia miejsca. Z małym wyjątkiem każdy liczy dnie i godziny, które jeszcze spędzić tu musi. Gdyby można, uciekłbym jeszcze dzisiaj i uścisnął Cię mój kochany Karolu osobiście, jak teraz czynię na piśmie.

Twój *Karol.*

Szanownej i pięknej familii niech mi wolno będzie załączyć najpiękniejsze ukłony.

II.

2 lipca 1855 r.

Kochany Karolu! W sobotę przez Józia Jabłonowskiego odesłałem 21 arkusz korrekty, który zapewne już otrzymałeś. Dziś zgłaszam się o muzykalia, wyszczególnione na kartce załączonej. Albo wszystko, albo co jest, nadeślij mi wraz z rachunkiem. Nie ma to jednak stać się później, jak przed 10 lipca, ani prędzej, aż póki mi innego nie załatwisz sprawunku.

Pomiędzy muzykaliami Twojej żony znajduje się rękopism „Feuilles volantes“ par Richter. Jeżelibyś mógł go znaleźć, to znajdź, — jeśli zaś nie, to zaczekaj, aż Madejski (którego o to osobnym proszę listem) nadniesie Ci swój exemplarz — i albo jeden, albo drugi każ z łaski swojej odpisać komu dla mnie, a potem wraz z owemi muzykaliami przyślij mi kopię. — Jak widzisz, bawimy się tu muzyką — przynajmniej muzyka gadana, — przynajmniej gdy słota z kimkolwiek zejść się pozwoli — po za któremi to nie nader rozrywkami konwersacyjnemi — dla innych nudy i smutek, — dla mnie, im dłuższa niepogoda, tem przyjemniejsza samotność, bo samotność wcale nowych, wcale zachwycających mię studyów.

W tym samym Lubieniu w r. 1850, a więc nie bardzo dawno, rozpoczynałem studya do Jadwigi. — Z takiejże wycieczki kąpielowej korrespondowałem przed 2 latami względem szkiców. — Dziś szkice u schyłku, a Jadwiga tuż na wylocie. Dobrze sobie więc i o dzisiejszych tu nowych studyach lubieńskich i kąpielowych wróżę. Gdy zaś przyjdzie pora wydania — czyli skromniej mówiąc: jeśli (da Pan Bóg) przyjdzie, — nie 1000, a 5000 exemplarzy drukować będziem, — bo to nie Jagiełło i nie Archidyakon Gnieźnieński — i nie autor, pasujący się dopiero z doświadczeniami, nabytemi w ciągu pracy około Jadwigi, — ale czasy Paska, a bohaterem......

Dawniejsze projekta o historyi przedhistorycznej odłożono na później, — a tymczasem 40-ty rok życia, do którego już tylko niespełna 4 lata, chcę zakończyć tą nową pracą skończoną. Rosyjskie przysłowie każe w latach 30 być żonatym, a w 40 bogatym, — jeśli tedy rok 30-ty mi nie dopisał, pamiętajcie panowie nakładcy, aby 40-ty przynajmniej 30-go funkcyę zastąpił. O resztę — mniejsza...

Kąpiele nieźle mi, spodziewam się, uczynią. Nawet oczy może zyskają na nich. A Ty — wywracasz-że wciąż koziołki? i pijesz wodę? Rób, co możesz, byle się — nie dać. List ten nie potrzebuje odpowiedzi pisanej. Żonie się kłaniaj. Sam bądź zdrów

Karol Szajnocha.

III.

Wtorek rano. 1855.

Kochany Karolu! Odsyłam 22-gi arkusz korrekty z ostatnią ćwiartką manuskryptu. Do tego załączam Rękopism reszty dopisków — garmondowych, stanowiących koniec tomu II-go. W manuskrypcie znajdziesz stłuczone okulary niebieskie, z któremi bądź łaskaw posłać kogo do Kolmana, w budynku uniwersyteckim, aby mi tam kupił nowe, takiej samej (ile możności) osady i podobnegoż — nie jaśniejszego koloru. Przesyłam na to 2 floreny. Gdyby z oddawcą pakietu niniejszego trudno było porozumieć się względem czasu, w którymby miał wziąć okulary kupione, to bądź łaskaw nadesłać mi pocztą, choćby dzień później. Wszakże nie płać porto — ponieważ *franco* na obydwóch arkuszach korrekty — musiałem tu opłacić koszta przesyłki pocztowej, — zapewne (jak mi tłumaczono) nie doręczone poczcie lwowskiej przez oddawcę pakiettu.

Dalszych 6 flor. posyłam za nuty otrzymane, które też wymazać z rachunku. Załączony wreszcie list do P. Komarnickiej odeszlij z łaski swojej do adresatki — na placu jezuickim, w domu Wilczka — bez czekania na odpowiedź jakąkolwiek. Sam zaś bądź zdrów i w przyjaźnej miej mię pamięci

Twój *Karol Szajnocha.*

Dobrzański znowuż wiele mi o nowych pochwałach J a d w i g i w pismach warszawskich nagadał, lecz my z tem ponoś nigdy nie zejdziemy się.

IV.

D. 27 września 1856.

Kochany Karolu! Jeśli możesz teraz wyekspedyować wiadomą przesyłkę dla mnie, tedy uczyń to przez oddawcę niniejszej kartki, gdyż po południu wątpię, żebym mógł przyjść. Zarazem proszę Cię o łaskawą nadsełkę innych dwóch, albo trzech tomów nowszych jakichkolwiek, zamiast załączonych tu 3 tomików Niewiarowskiego. Do widzenia Cię!

Szajnocha.

V.

D. 18 października 1856.

Szanowny Panie Karolu! W poniedziałek 20-ty — a z nim termin umówiony. Wielcebyś mię zobowiązał, gdybyś jutro, albo pojutrze zgłosił się do mnie przesyłką, lub co jeszcze lepiej — osobiście — bądźto do domu (w niedzielę), bądź też do kancelaryi. — gdyż ja zwyczajnie tylko wtedy mam czas być w księgarni, kiedy Ciebie tam nie ma, — przeto tylko darmo bruk rynkowy zbijam. Na wszelki wypadek do widzenia Cię!

K. Szajnocha.

VI.

D. 16 kwietnia 1857.

Z łaskawie udzielonego biletu nie mogę zrobić użytku, gdyż do zwyczajnej przeszkody chorego wzroku przybyła jeszcze wizykatorya na karku, która nie pozwala ani obrócić się, ani podnieść głowę jak się należy. Dlatego zwracam bilet do innego zarządzenia i przepraszając za ambaras, dziękuję najserdeczniej za pamięć

Karol Szajnocha.

VII.

D. 19 listopada 1857.

Kochany Karolu! Upewniony po kilkokrotnie, iż 15 b. m. otrzymam jakąś część honoraryum, odłożyłem do tego czasu różne sprawunki i wypłaty, które mi teraz dokuczać zaczynają.

Bądź tedy łaskaw pamiętać o Twoim przyjacielu *Karolu.*

VIII.

Niedziela, 10 godz. zrana.

Szanowny Panie Karolu! Przesyłam pierwszą część artykułu. W następny poniedziałek otrzymacie dokończenie. Nie przysłaliście mi żadnego numeru Tygodnika. Proszę więc o obadwa ostatnie. — Spieszę z oddaniem listu na pocztę.

Przeto (?) tylko wam jeszcze za egzemplarze Lubomirskiego — och ileż jeszcze nie wyzbieranych po korrekcie myłek i grubych myłek drukarskich — dziękuję i przyjacielskie pozdrowie zasełam

K. Szajnocha.

IX.

Poniedziałek.

Kochany Karolu! W sobotę proponował mi sam Maniecki, abym dał składać pierwszy arkusz tomu II., bez względu na to, kiedykolwiek Ty będziesz mógł załatwić interesa. Nie chcąc robić tego bez Twojej wiadomości, byłem z tem w sobotę wieczór u Ciebie, lecz nie zastawszy Cię wtedy, donoszę Ci to obecnie. Jeśli nie masz nic przeciw temu, dam składać zwolna manuskrypt. — jeśli zachodzi jaka wątpliwość, chciej mnie uprzedzić kilkoma słowy dziś rano — do 12-tej. Do widzenia Cię!

Karol Sz.

X.

Piątek.

Jeśli — kochany Karolu — masz u siebie, w mieszkaniu, arkusze mojego manuskryptu, to daj je służącemu. — Jeśli zaś są w księgarni, to każ mu przyjść później, gdy zejdziesz na dół.

Nie odbieram sam manuskryptu, bo zasiedziałem się tak uporczywie w domu, że już ze dwa tygodnie nie byłem na rynku i nie wiem, kiedy się znów rozruszam. Wertuję ciągle Wacława Potockiego. Po nowym roku będziesz go musiał wydać. Tymczasem bywaj mi zdrów, mój kochany!

Twój *Karol Szajnocha.*

Pani Karolowej Dobrodziejce najuniżeńsze ukłony. Zawstydzony jej żartami z posłusznych, którzy sobie brody zaraz postrzygli, nie będę śmiał pokazać się znowuż przed nią, aż póki mi broda po sam pas nie odrośnie!

XI.

Dzień dobry! — Aby drukarnia przypadkiem czekać na mnie nie potrzebowała, przesyłam dalszy ciąg artykułu ruskiego — po południu prześlę koniec, który jeszcze połowę tego, ile teraz przesyłam, t. j. jedną ćwiartkową stronę zawierać będzie. — Proszę o historyę austryacką — i zasyłam pozdrowienie przyjacielskie

Karol.

XII.

Co tam słychać Panie Karolu? Czego Ci powinszować? Od dni kilku nie wychodząc za próg, z bliznami od pijawek na gardle, nie mam innego sposobu dowiedzieć się o Twoim losie ojcowskim, jak niniejszem zapytaniem pisemnem. Sposób i porę odpowiedzi pozostawiam zupełnie własnemu wyborowi Twojemu. Masz zapewne niemało innych odpowiedzi i kłopotów do odpędzenia teraz od siebie. Pan Bóg z Tobą!

Karol Szajnocha.

XIII.

Lwów, 26 lutego 1858.

Kochany Karolu! Na żądanie Widmana zostawiam u Ciebie odpowiedź moją na list od niego. Wmawia we mnie poczciwiec, iż w obecności Twojej, jego i kilku innych osób, po dwa razy zobowiązałem się przyjąć redakcyę nowego Pisma — i jako dawny justiciariusz chce dowieść tego świadkami. Nie pojmuję, skąd mu przyszła chętka do tej napaści. Chciej go więc zreflektować, bo nie można przewidzieć końca tej szpetnej sprawy. Do widzenia Cię!

Karol Szajnocha.

XIV.

Poniedziałek, 3 kwietnia 1858.

Kochany Karolu! Przypominam Twojej ludzkości naszego korrektora, o którym wspomniałem Ci już nawiasowo. Dałeś mu wprawdzie 10 fl., t. j. właśnie tyle, ile mu się należy za dostarczoną korrektę 7 arkuszy Bolesława, — ale zamało, aby sobie przywdziać za to nową skórę na wiosnę —, w miejscu tej zdartej, której nie będzie można pokrywać dłużej bundą zimową.

Na obrok codzienny ma nieborak ile tyle odemnie, — ale skóry nie będzie, jeśli do owej dziesiątki z dołu nie dodasz jaką piętnastkę z góry, — jak na to przyzwoliłeś milczeniem w rozmowie ze mną. Przy większej z dniem każdym wprawie będzie mógł należycie odsłużyć — i przyda się w razie potrzeby. Żeś mu dał mniej, niż interesa żądają, dowiedziałem się dopiero po długim wypytywaniu, czy był u Ciebie? Czyś mu co dał? Ileś mu dał? Jak wiele mu potrzeba? i t. p.

Jeśli więc nudzę, moja, nie jego wina. Ale o to niech nasi synowie rozprawią się z sobą, jeżeli zechcą. My kochajmy się, jak zwyczajnie.

Twój *Karol Sz.*

XV.

Korczyn, 21 czerwca 1858.

Kochany Karolu! Szczęśliwego pomnożenia rodziny, o którem doniosła mi p. Małecka, z duszy Ci winszujemy — i mamy nadzieję, że Pani ma się dobrze.

Załączony tu bilet do Aleksandra hr. Stadnickiego z pilną wiadomością z Warszawy, chciej odesłać do mieszkania u ks. Sapiehy, albo w razie niebytności do pana Kazimierza Stadnickiego, z prośbą o dalszą expedycyę.

W świeżo otrzymanym liście od Stadnickiego odbieram następną propozycyę: „S. Orgelbrand oświadczył mi, że Ci ofiaruje wyższe honorarium, jeżeli mu przyślesz Bolesława Chrobrego pod zmienionym tytułem, i Odrodzenie, także ze zmianą nadpisu. Rozważ dobrze tę propozycyę, ja pośredniczyć Ci chętnie będę. Sądzę, że na tem lepiej wyjść możesz, i dlatego projekt ten popieram. Proszę o odpis zaraz.“ — Nie byłbym przeciwny temu projektowi, lecz przed daniem odpowiedzi, chcę się upewnić, że i Ty nie masz nic przeciw temu. Daj mi więc znać w kilku słowach — donosząc, oraz z łaski swojej, czy nie wiesz co o paszporcie Lenartowicza.

Nam się tu wiedzie jako tako — brak tylko czasu do opisu szerszego, bo i dziecko kwęka na zęby i żyd czeka na list. Przestajemy więc na przesłaniu obojgu kochanemu Państwu najserdeczniejszego pozdrowienia. Twój przyjaciel i sługa

Karol Szajnocha.

XVI.

Korczyn, 16 lipca 1858.

Kochany Karolu! Adres Lenartowicza według umowy zostawiłem u Małeckiego, a wręczyłem mu go, jak dobrze pamiętam przy ostatniem spotkaniu w drodze na prelekcyę popołudniową. Brzmi on, jak następuje: à Rome. Piazza di Poli. Palazzo Poli, secondo piano.

Daj Boże szczęście nowemu Tadeuszowi! A kto go do chrztu trzymał? Ujejski? Donieś nam co o pochrześniku i o ojcu chrzestnym. Matka spodziewam się — zdrowa.

Mimo słoty i niewygody nieźle nam tu w Korczynie. Bo też to w istocie jeden z najszczęśliwiej położonych zakątków kraju. Żetyca, kąpiele rzeczne, powietrze, temperatura codzienna — wszystko w najwyborniejszym gatunku.

Na rok przyszły, jeśli Pan Bóg planów nie zmieni, będę Was namawiał usilnie wraz z nami do Korczyna. Zwłaszcza dla dzieci jest to prawdziwa kraina zdrowia. Rzecz osobliwsza — lud dorosły wygląda tu prawie tak biednie i mizernie, jak gdzieindziej — dzieci wszystkie hoże, rumiane, pyzate, aż miło patrzeć. Jak im bieda z pracą dokuczą, zmizernieją i one.

Orgelbrandowi przez Wójcickiego odpowiedziałem: niech próbuje. Książek, jak radzisz, nie mogę posyłać do cenzury warszawskiej, gdyż na wszelki wypadek chciałbym poczynić znaczne poprawki i dodatki.

Lechicki początek Polski czy wyszedł już z cenzury w Warszawie? Do połowy czerwca jeszcze to było nie nastąpiło. Tylko Maciejowski miał jeden exemplarz i zabierał się pisać recenzyę, czy właściwie replikę. Dostałżeś manuskrypt od Bielowskiego? — pod jakim tytułem i co zawiera?

Thorson czy jeszcze jest we Lwowie? Żałuję bardzo i bardzo, że go nie poznam.

Poniesioną tem stratę chcę sobie wynagrodzić prośbą do Ciebie. Bądź łaskaw wiadomym Ci sposobem zrobić kwerendę w Lipsku, czy u antykwarzów niemieckich nie dostanie przypadkiem starego dzieła: Duchesne Scriptores rerum Normannicarum, folio — wydanie znajdziesz w każdym leksykonie bibliograficznym.

Bądź co bądź, muszę przed śmiercią poznać to dzieło. Gdyby się gdzie znalazło, uprosiłbym którego z właścicieli bibliotek lwowskich, aby je nabył dla siebie — a w razie najgorszym wziąłbym je na mój własny rachunek. Dlatego zapytaj, zapisz i sprowadź — jeśli mię kochasz. Tymczasem zaś miej mię w dobrej pamięci — poleć mię wszystkim dobrym znajomym. Bądź zdrów i dobrej myśli — i wraz z swoją szanowną i coraz szanowniejszą Panią przyjm od nas obojga zapewnienie szczerej przyjaźni.

Twój *Karol Szajnocha.*

Pani Karolowa Pani Karolowej osobne zasyła ukłony, a większe i mniejsze dzieciaki serdecznie całuje.

XVII.

Lwów. 3 czerwca 1859.

Proszę o łaskawe przypomnienie w drukarni, aby nieodbijano 30-go i 31-go arkusza Bolesława Chrobrego, nie nadesławszy mi go pierwej do ostatecznej rewizyi — jak mi to przyrzeczono we środę.

Karol Szajnocha.

XVIII.

D. 27 grudnia 1859.

Odsyłam Ci, kochany Karolu, „Gazetę Warszawską“, z artykułem Kremera. Rzecz całkiem moja, tylko strasznie rozwlekle i mniej wszechstronnie napisana. Wart przecież, aby mu posłać Szkic. Jakoż uczyń to, mój kochany Karolu, jak najprędzej — i przydaj na mój rachunek Lechicki początek Polski — z dopiskiem: *J. Kr...* od nakładcy albo autora. Ja osobno kilka słów piszę do niego. U nas widać niedość samej szlachcie posyłać książki do domu — potrzeba jeszcze i literatom — i oprócz tego wskazać miejsce, gdzie mają czytać, — inaczej będzie rzecz od trzech lat napisana, a oni wciąż o toż samo sprzeczać się będą — albo, co jeszcze gorsza, przedrwiwać cię na niewidziane. Do widzenia — czyli raczej do pomacania — mój kochany Karolu

Twój *Karol.*

XIX.

Kochany Karolu! Doszła mnie temi dniami, nie wiem, czy autentyczna, wymówka od Lelewela, że mu nie nadsyłam prac swoich. Oby więc bogdaj w części naprawić winę, chcę mu przesłać nowego Bolesława Chrobrego, — którego wraz z listem załączonym czy nie byłbyś łaskaw wyprawić, ile możności, rychło na mój rachunek do Bruxelli — pod adresem księgarni (jeśli się nie mylę) Murquarta — tej samej, na której ręce wysłałem Ci w roku zeszłym, czy zaprzeszłym, pierwszy tom Szkiców.

Załączonego tu listu nie posyłam sam pocztą, bo nie jestem pewien adresu i bezpieczeństwa. Dziękuję za „Dziennik Poznański“, który zwracam.

Twój *Karol Sz.*

XX.

Korczyn, 27 czerwca 1860.

Kochany Karolu! Otóż list bez interesu żadnego — podyktowany jedynie (jak nieboszczyk Wasilewski mawiał) potrzebą serca... Wiemże ja wprawdzie, iż mając więcej istot do ulokowania Twoich potrzeb sercowych, nie potrzebujesz listów bez interesu, — ale pierwsza miłość od siebie. Nie dbając więc o Twoje kłopoty świętojańskie, przesyłam ci zapytanie, jak się macie?... Jakeście się zagnieździli na lato? Jak się reszcie Twego jestestwa wiedzie w Wełdzirzu?

W tej chwili był u nas całkiem niespodzianie kolega Szmit i nadmienił (czy Ona podobno nadmieniła), żeście się umieścili gorzej, niż należało, bo nie w samym Wełdzirzu, lecz na kolonii, na co uczyniłem uwagę, że najlepiejby o tem usłyszeć Wasz własny sąd. Jakoż mam nadzieję, że i on nie wypadnie tak niepomyślnie, jak państwa Szmitów. — inaczej żalby mi było, że zmuszeni biedować, nie biedujecie przynajmniej w Korczynie — wprawdzie nie z nami, bo my tu nie biedujemy, lecz przynajmniej z naszą korzyścią. Jeśli zaś nieźle w Wełdzirzu, czy w Aniołowie, to wcale nie żałujemy, żeśmy Was nie namawiali tu z sobą.

Oprócz jednego bowiem mieszkania, które my sami zajmujemy, — nie ma i nie było podobieństwa znalezienia tu dla Was dość obszernego i dogodnego przybytku — nawet za drogie pieniądze. My, uchwyciwszy to jedyne wygodne pomieszkanie — i nieutrapieni jeszcze dotąd zbyt wielkim niedostatkiem żywności — a cierpliwie ulegli niezmiennym wyrokom słotnych niebios, — pędzimy tu życie jakie takie, ciesząc się pociechą bujającego po dworze syna i widokiem znacznego polepszenia zdrowia niektórych znajomych i znajomiątek — osobliwie pani Bielowskiej i małej Jabłonowskiej, które obie, mimo pory niesprzyjającej, doznają widocznie pomyślnych skutków żętycy i powietrza.

Ja sam nie bardzo zdrów, — ale nie próżen przyjemności pobytu ulubionego — zwłaszcza, gdy jak roku zeszłego, tak i teraz więcej prawie pracuję tu, niż we Lwowie.

Tyle mojego listu machinowego, — który pono sam jeden ze wszystkich wyrobów machinowych kosztuje więcej pracy, niż wyroby zwyczajne. Temci więc obszerniejszego produktu zwyczajnego spodziewając się wkrótce od Ciebie — kończę w imieniu nas obojga najserdeczniejszem pozdrowieniem. Wszystkim gałęziom literatury wraz z filologią ukłony i uściski.

Twój *Karol Szajnocha.*

XXI.

(List do Leonii Wildowej).

Korczyn, 19 lipca 1860.

Nie mogę nie przyłączyć się do listu mojej żony do Pani mając podziękować za tyle miłych i pięknych rzeczy, które w części i dla mnie znajdują się w liście Pani do żony mojej. List to tak powabny i niepowszedni, jak Pani powidełka i polonezy. Najbardziej jednak ujął mnie pewnym rysem złośliwej delikatności który nie omieszkał sprawić skutku. W dawniejszym swoim liście do pani Jabłonowskiej nadmieniłaś Pani o kilku słówkach o srogiej ze mną wojnie w niedługim czasie, — a ostatni swój list, tak łagodny na pozór i pełen zgody — zapełniłaś Pani zapewne nieprzypadkowo mnóstwem ciekawych wyjątków i wiadomostek, które mają mię pobić stanowczo na polu mojej różnomyślności o ostatnich artykułach Ujejskiego. Taktyka to pełna wdzięku i siły, — ale sprawa, o którą chodzi, tak mi się ważna dla nas wszystkich wydaje, że nawet w tym ile możności pogodnym liście do Pani — nawet zacząwszy od tonu żartobliwego i mając ochotę utrzymać go do końca — nie jestem w stanie wstrzymać się od nabazgrania czegoś na seryo.

Artykuły Ujejskiego, jak one ostatecznie wychodzą na świat, nie zgadzają się ani z mojem przekonaniem, ani z mojem współczuciem dla Kornela. Usłyszawszy pierwszy raz o nich, spodziewałem się czegoś innego, niż zwłaszcza w całości artykułu o Januszu znalazłem.

Artykuł o Album wileńskiem czytany mi był przez Kornela w towarzystwie, przed którem nie chciałem podnosić głosu. Z wyjątkiem więc całego prawie artykułu o Brzeżanach zdaje mi się wszystko chybionem — i nie chciałbym w żadnej mierze dzwonić na to kazanie, — a jeśli przy spotkaniu z Kornelem nie wyjeżdżałem natychmiast z protestacyą, a nawet byłem gotów . . . . . . raczej . . . . . .[1]) stronę rzeczy, to długich wyjaśnień nie potrzebuje. Oni też wszystkie głosy przyzwalające, które w Twoim liście — miła Muzo harmonii — wdzięczą się tak pochlebnie do Ujejskiego, nie zmieniają opinii mojej. Że cała emigracya przyklaśnie — rzecz naturalna. Ale to główny wzgląd dla mnie, że z takiej mąki nie będzie chleba zdrowego. Zgadzam się na to, że zwyczajny chłód artykułów i książek i poezyj nawet zwyczajnych nie prowadzi da-

[1]) wyrazy nieczytelne.

leko, — że winszowaćby sobie należało pisarza, jak Ujejski, któryby szeregiem gorących, a nawet wrzących, ale bądź jak bądź nie przesadzających nad ludzką miarę, odezw rozgrzał i choćby nawet boleśnie zelektryzował publiczność — drzemiącą zawsze i gnuśną. Tymczasem przesadzając właśnie nad wszelką miarę — bo i nad miarę sprawiedliwości i możliwości codziennej i smaku i wszystkiego, — cóż za skutek odnosi — oto, że nie mogąc żadną miarą zwabić ku sobie wszystkich — nawet prostej większości, zawsze posłusznej instynktowi dobrodusznej słuszności, albo zanadto ociężałej, aby mogła pójść za nim, — porwie za sobą mniejszość, lub wcale niewielką liczbę, która dla swojej szczupłości samej nie zdoła zrobić nic więcej, jak że zacznie kłócić się ze stroną przeciwną, — skąd zamiast choćby cicho szyć buty drabom, wodzi się sama poczciwa za łby pomiędzy sobą, — albo jak faryzeusze mówią: niezgoda! i prawie nic prócz niezgody!

W tej chwili otrzymałem ze Lwowa list od mego lektora — młodego akademika — literata, który mi donosi, że ostatniej niedzieli jedna część akademików wybierała się w celu demonstracyi do Lubienia, druga do Zubrzy. Na szczęście srogi deszcz przygasił zapał obojej strony. I cóż po takich demonstracyach, zwłaszcza gdy partya zubrzańska zagrozi wygwizdaniem człowieka, który w dobrej chęci chce w towarzystwie gospodarskiem lub jakiemkolwiek odczytać rozprawę o przedmiocie krajowym. Terrorystyczną niezgodę i walkę przypuszczam jeszcze w chwilach działania siłą mocy — w wstrząśnieniach rewolucyjnych, gdzie o to chodzi, aby czemkolwiek przemódz jak najprędzej stronę przeciwną, — a czasem ledwie nie wszystko jedno, która strona zwycięży (mówię o rewolucyach społecznych), byle jedna zwyciężyła stanowczo i niepowrotnie. Wtedy za łeb leniuchów-tchórzów, bo tylko kupą zwycięstwo pewne, — a do zapełnienia fosy przy szturmie i tchórz dobry swoim tułowiem. Ale na nic takie forsowanie w czasach mniej nagłego działania — jednem słowem w pokoju, który ma swój własny rodzaj pracy i zasługi, choć całkiem różny od trybu czasów gwałtownych.

Jakoż pominąwszy krzywdzenie osobiste, nigdy pochwalić się nie dające — głównie w tej niewłaściwości pory pojawienia się swego upatrywałbym wadę tak przesadnie forsownych artykułów. Jeśli autor w kilka miesięcy spodziewa się zamieniać pióro za pałasz — i z swoim ochotnikiem uderzać naprzód — dobrze! Inaczej przecież ledwie . . . . . . czego on wymaga po ludziach czasów spokojnych, piorunując na kupców, którzy dbają o zysk, na gospo-

darzy ..... starających się o intratę, poetów piszących ładne poezye, gapiów bawiących się w wyścigi, literatów i powieściopisarzy składających uczone rozprawy i zajmujące powieści. Cóż, u kata, mają robić innego, jak to, co umią. — Zupełnie nie pojmuję, co ja, poważny literat, a bądź jak bądź nie najobojętniejszy z Polaków, miałbym robić innego zarzuciwszy moją pracę uczoną, którą Ujejski wraz ze wszystkimi zawodami ...... w spokoju tak bezwarunkowo potępia.

Albo i cóż mają zwerbowani przez niego poeci i literaci robić ze swojem piórem, nie mogąc pisać ładnych poezyi i zajmujących powiastek? Czyż same Ody do młodości i same Chorały — gdyby nawet każdy miał je na zawołanie — byłyby w stanie dostatecznie nasycić, oświecić, zabawić naród? Bo zgoda na eksterminacye, zabawy i próżniactwa i głupoty w dniach szturmu i terroryzmu, — ale w dniach spokoju chcieć z nich świat ogołocić — to chęć próżna, — to rzecz nie moja i bogdaj żadnego z przyjaciół moich. Kończy się więc na tem, że zwolennicy tych gorących odezw, nie mogąc z dni spokoju robić, co tylko Belwederczykom na czasie, i pomiatają niepotrzebnie ..... pracy spokojnej — niechęcą ludzi do niej, biorą się zaczepnie do samych pracowników, sieją w istocie tylko swar i niesmak i zniechęcenie do wszystkiego na koniec.

Z tej to przyczyny znużony już tą moją żmudną bazgraniną na tablicy, nie zgadzam się z tym przesadnym, wymagającym tonem artykułów Kornelowych, które zwłaszcza wtedy stają się całkiem niesłusznymi i niepraktycznymi, gdy dotykają osób.

Gdyby też odemnie zależało, pisałby Kornel zawsze tylko o rzeczach, a nigdy o osobach — którym zawsze jeszcze bardziej niż rzeczom szkodzi, gdy się o nich powie za wiele. Ale dość już przebóg! tej bazgraniny — nieczytelnej, a zapewne i niepotrzebnej.

Do tego przecież stopnia zatrwożyłaś mię Pani zapowiedzeniem wojny, że jak dzieci, według francuskiego przysłowia, śpiewają, kiedy się boją, — tak ja stałem się gadatliwym ze strachu. Mimo tego jednak wielu a wielu jeszcze rzeczy nie powiedziałem — umyślnie nie dotknąłem, — nie chcąc Pani irytować zanadto — i dbając tym razem więcej o zachowanie sobie ostatniej iskierki życzliwości w korku, według naszego domowego słownika: w sercu Pani, — niż o przekonanie Jej upartego rozumku.

To też niech nadobna Muza z Aniołówki wspomnieniem wszystkich przeszłych i przyszłych zasług szpargalisty rozgrzeje tę ostatnią iskierkę — i przebaczy mu jego winę różnego zdania. —

za co on najserdeczniejszą przyrzeka wdzięczność, którą to prośba i obietnicą kończę już — kończę, — gdyż inaczej miejsca na pożegnanie zabraknie, a trzeciego półarkusza listowego niema w tej mojej kancelaryi podróżnej. Zatem Bóg z Wami, kochani i dobrzy Państwo! — Bóg z Wami, rodzicami i dziećmi pochrzestnikami. — nie wyłączając nawet panny Heleny, ta to schodząc bywało schodkami kręconemi z Czytelni, tak nie po bożemu — wyśmiewała moją łysinę.

Karolowi, jeśli jest w Wełdzirzu, albo skoro przybędzie. nadliczbowe uściśnięcie odemnie.

A czy też wody wełdziskie nie rozlały się kiedy morzem między Aniołówką a Lwowem?

Na rok przyszły najmiemy sobie tu w Korczynie na spółkę jeden duży dworek o wielu pokojach, z ogrodem, wybornie położony — i będziemy wojnę toczyli ustnie, zaprosiwszy do towarzystwa samegoż sprawcę teraźniejszych niepokojów wojennych. — któremu przy okazyi, mimo różnicy zdania, chętnie przesłałbym pozdrowienie. Tymczasem żegnajmy szczęśliwi i weseli z daleka — a gdyby tam coś bardzo ciekawego przybyło . . . ., to sobie z góry na górę podajmy przez Dolinę. Wierny na zawsze czciciel i sługa

Karol Szajnocha.

Stanisław Wasylewski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pierwowzór „Nadobnej Paskwaliny".

(Ciąg dalszy.)

II.

W sferę oddziaływań Apulejusza wchodzi znów w księdze trzeciej, gdzie przedstawia dalszy ciąg akcyi, zapowiedzianej na końcu księgi pierwszej przez Felicyę. Jak Apulejusz, opowiedziawszy o bezskutecznych wędrówkach Psychy i jej odprawieniu z dwóch świątyń, wraca do Wenery (VI., 6) i każe jej poszukiwać zbiegłej Psychy z pomocą Merkurego, tak i Twardowski w podobnym momencie akcyi przypomina sobie na początku księgi trzeciej o Wenerze i opowiada, jak bogini, tryumfująca po pozbyciu się z Lizbony rywalki, zwróciła się do syna z prośbą o sprowadzenie jej — Marsa. Ale strzała Kupida odbiła się od pancerza boga wojny, zajętego w Ameryce wspomaganiem Portugalczyków w podboju nowego świata: „Nie teraz w tej dobie — param się ja miłością, kiedy w tym obrocie — i trojakim opływam czoła swego pocie", mówi Mars. Gdy na Lemnie próżnował, mogła go Wenus skusić. Ale gdy teraz zajęty walką, nie ulegnie jej. — Zmartwiony tem nieudaniem się misyi, wraca Kupido do Europy. Po drodze przelatując nad rozkoszną łąką, przez którą płynęła przezroczysta rzeka, zatrzymał się i nie pomnąc na przestrogi matki, odłożył na bok łuk i kołczan, zażył pokrzepiającej kąpieli, a potem na brzegu usnął.

Zwabiona jego blaskiem Paskwalina, która właśnie wędrowała wzdłuż owej rzeki, stanęła nad śpiącym. „Długo tak poznawszy go stała. — co czynić z tym wątpliwa: Tu Boga się bała — choć małego obrazić i rozgniewać na się — matkę jego drugi raz. Tu uważy zasię — że mogąc go poimać, opuściéby miała — tak kosztowną pogodę [1]". Przypomniawszy sobie jednak słowa Felicyi o znakomitym czynie, przez który ma zwyciężyć Wenerę i szeroko zasłynąć, zrozumiała, że to idzie o unieszkodliwienie Amora. Jemu samemu da pokój, ale broń („armatę") jego zniszczy i w ten sposób uwolni świat od wielu niepokojów i przyniesie mu złoty wiek. — Pomodliwszy się więc do bogów, połamała łuk i strzały.

Ta Paskwalina, stojąca nad śpiacym Amorem z zamiarem zaszkodzenia mu, to Psyche, która z poduszczenia złych sióstr zamierza zabić rzekomego potwora, swego śpiacego męża, gdy w świetle lampki spostrzega, że to sam — Amor (VI., 21). W nogach łożnicy łuk leżał, kołczan i strzały, wielkiego boga niezawodne pociski. Psyche bierze do ręki mężowski rynsztunek, wyjmuje z kołczana jedną strzałę i grotu jej próbuje na samym koniuszku palca. Zraniwszy się przypadkiem, popadła w moc boga miłości... Paskwalina miała się z niej wyswobodzić, więc broń Amora połamała. — Jeżeli Amor Twardowskiego, niepomny na przestrogi matki, usypia na łące rozkoszy i przez to popada w moc Paskwaliny, to i ten motyw ma analagon u Apulejusza w opowiadaniu, jak Amor, wysłany przez matkę na ukaranie Psychy, sam siebie własną przeszył strzałą, zakochał się w śmiertelniczce i uczynił ją tajemną swą małżonką (V., 24).

Ale i Paskwalina, spełniwszy najtrudniejsze dzieło, „daje się rozkoszy miejsca", rozbiera się, kąpie, a potem zapomniawszy nawet o talizmanie, kładzie się na brzegu i usypia. Tymczasem budzi się Amor, spostrzega, że broń jego połamana, odkrywa w śpiącej sprawczynię — i nie wie, co począć: „Tu lubo chciałby ją poimać — albo nawet i zabić, — trudno ma dotrzymać — dziewki tak urodziwej", zwłaszcza, że był bezbronny. Pobiegł więc po radę do matki, która zgromiwszy go za rozzbrojenie, rozkazuje przynajmniej silnie związać śpiącą i zostawić ją na pastwę dzikim zwierzętom. Rozkaz wnet spełniony. Paskwalina budzi się w więzach, wyrzeka na niestałość Fortuny, wyrzuca sobie nieoporność wobec rozkosznej łączki i prosi bogów o lekką śmierć, byleby nie stała

[1] = sposobność, jak w łacinie tempestas = chwila, czas, okoliczność — i pogoda.

się pastwą dzikich zwierząt... Najtrudniejszem zadaniem Psychy było przeniesienie z piekła od Prozerpiny odrobiny piękności dla Wenery (VI., 15 i n.). Instrukcye co do sposobu dostania się do podziemia i zachowania się tamże, otrzymała nieboga od mówiącej wieży. Najważniejszym z środków ostrożności jest niepozbywanie się placków, potrzebnych na uspokojenie Cerbera (VI., 18 i n.). Dzięki przestrzeganiu tych rad spełniła Psyche pomyślnie swe zadanie, wyszła z puszką, zawierającą piękność, na świat i tu dopiero popełniła największą nieostrożność. Otwarła puszkę, by sobie zabrać trochę piękności dla przypodobania się Amorowi. „Lecz nie były tam ani piękności, ani też nic innego, jeno grobowy sen, iście stygijski, który natychmiast po zdjęciu przykrywki wypuszczon, ogarnął ją mgłą senną, członki jej opanował wszystkie, a powaliwszy ją w samym chodzie i na samej ścieżce, owładnął nią do cna. Leżała tak nieruchoma i niczem innem nie była, jak śpiącym trupem." W tym stanie znalazł ją Amor i kolnięciem strzały ją obudził, a po dalszą pomoc pobiegł do Zeusa... Twardowski przejął z tego opowiadania przestąpienie zakazu po spełnieniu najtrudniejszego zadania, sen Paskwaliny i popadnięcie w moc Amora. Stosownie do założenia powieści musiał ją jednak w dalszym ciągu do innego prowadzić celu.

Wzywającą śmierci Paskwalinę oswobadza z więzów Satyr i daje jej wskazówki co do dostania się do bliskiej świątyni Minerwy. Jest to odpowiednik Apulejuszowego Pana, który ujął się za Psychą, usiłującą sobie odebrać życie po utracie Amora, ostrzegł ją przed dalszemi próbami samobójstwa i radził modłami zmiękczyć Kupida (V., 25).

Pokrzepiona na duchu przez Pana, poszła Psyche najpierw do świątyni Cerery, a odprawiona tu z niczem, zwróciła się do świątyni Junony (VI., 3 i n.): „Widzi ofiary drogocenne i tkanie głoskami dziergane złotemi, rozwieszone po konarach drzew i na słupach. Wypisane tam były podzięki za łaski doznane..." Junonę błaga Psyche o opiekę w najstraszniejszych przygodach i wyrwanie z grożącego niebezpieczeństwa. Ale świekra Wenery, mimo całej sympatyi dla Psychy, nie chce przyjmować zbiegłej niewolnicy swej synowej... U Twardowskiego ksieni Junony, Beliza, przyjmuje łaskawie Paskwalinę, poleconą jej przez Felicyę, rozgrzesza ją z młodzieńczej płochości, którą już naprawiła żalem i pokutą, i oświadcza jej, że przez rozbrojenie Amora wybawiła świat od spalenia. Gdyby bowiem ludzie byli dalej tak grzeszyli bogowie byliby spalili ich ogniem z nieba. Przez ten czyn zyskała

Paskwalina sławę nieśmiertelną: „Będziesz sobie — szerzyła się w tytułach i jako ta Pani — ciebie wyrugowała, tak wzajem ty na niej — z miasta podobanego wyjedziesz i nową — na jej miejscu zostaniesz Cypryjską królową. — Tam rozpostrzesz dopiero ozdoby twe swoje — i wdzięki: fawory.“ Dawniejsze swe pokoje znajdzie drogo obite, w nich służbę strojniejszą, niż dawniej. Na stołach znajdą się smaczniejsze, niż dawniej, potrawy i napoje; teatry „nie zniosą“ igrzysk i widoków, ku jej czci urzadzanych. Jeśli dawniej myła się rosą, to teraz będzie pływać w ambrozyi i „dobrych wiecznie dni zażywać“. Krasa jej będzie doskonalsza, bo złoży się na nią piękność i zewnętrzna i wewnętrzna. Ale te rozkosze nie wzbiją jej w pychę. Nadto ani szalony ogień miłości nie przejmie jej więcej, ani utrapienia ztąd płynące. I choćby ujrzała Oliwera, nic jej to nie wzruszy...

Ten obraz rozkoszy, czekających zwycięską Paskwalinę, odpowiada epilogowi baśni Apulejusza, u którego „Hory wszystko różami krasiły i kwieciem wszelakiem, Gracye balsamem kropiły“. Nie brak nawet u Twardowskiego przygotowania do tej łaski, kiedy Paskwalina z Belizą „pospołu — chleba udzielonego z niebieskiego stołu — i nektaru skosztuje“. Jest to odpowiednik napojenia Psychy przez Jowisza ambrozyą, dającą nieśmiertelność. Obaj autorzy rozchodzą się dopiero na punkcie ślubu bohaterki. U Apulejusza czytamy: „Pij Psyche i bądź nieśmiertelna, niechaj Kupido nigdy związku waszego nie starga, lecz owszem niech te śluby złączą was na wieki.“ Twardowski uleczył swą bohaterkę z miłości, więc już żadnych ślubów wprowadzać nie potrzebował. Jednak dawszy Paskwalinie obietnicę rozkosznego (z cnotą) życia, jeszcze każe jej się starać o tę łaskę, żeby już nie mogła grzeszyć, „żyjąc w ciele czystym“.

Te starania polegają na szeregu obrzędów, naśladujących pewne sakramenty kościelne. Więc Beliza przyjmuje od Paskwaliny najpierw „spowiedź do ucha“, następnie zadaje jej pytania, czy się wyrzeka „światowej marności i obłudy“? czy się rezolwuje na żywot zakonny? Paskwalina składa te ślubowania, poczem Beliza składa na jej głowie odpusty i obcina jej piękne włosy (ślubowane zresztą już dawniej bogini). Po postrzyżynach następują obłóczyny: „Weźmi tę szatę już czystości — mówi Beliza — w zakład z Bogi przymierza, a jej niewinności — strzeż nad oka źrzenicę. Całe-li umowy — swej dotrzymasz, nad wszytkie będziesz białegłowy — wywyższona na ziemi.“ Nie tylko Wenera, ale nawet same piekła nie przebiją pancerza „panieństwa ślubionego“. Przebywszy świa-

rowe Scylle i Charybdy, będzie Paskwalina panować, królować, tryumfować.

Allegorya Psychy tak nastręczała się już z okazyi jej imienia, że nie trzeba było czytać komentarza Fulgentiusa Planciadesa i jego humanistycznych wypisywaczy, by wiedzieć, że Psyche, to dusza ludzka, która przez pokutę dąży do połączenia się z niebieskim Erosem. Jak dla Klonowicza w Phietran, jak dla Sarbiewskiego (zwłaszcza w epigramach), tak i dla Twardowskiego celem ziemskiej wędrówki duszy jest pokonanie popędów i namiętności cielesnych i przygotowanie się na przyjęcie boskiego oblubieńca. Nie chcąc akcyi swej opowieści przenosić za grób, nie mógł inaczej wyrazić swej myśli, jak przez włożenie na bohaterkę ślubów zakonnych, jako najpewniejszej rękojmi przyszłego związku z niebieskim oblubieńcem. Stan zakonny wydawał mu się najbezpieczniejszy wśród pokus świata. Że jednak nie gardził i stanem małżeńskim, choć go uważał za mniej doskonały, pokazał w drugiej pieśni w epizodzie z rybakiem i pasterzami.

Jak u Apulejusza na ślubie Psychy, tak u Twardowskiego na ślubach Paskwaliny akcya mogłaby się skończyć. Wszak Amor już rozbrojony, a więc i Wenus bezsilna, a Paskwalina w przymierzu z bogami tryumfuje. Dla zaokrąglenia fabuły dodał jednak Twardowski jeszcze epilog, w którym opowiada, jak Paskwalina wróciła na obłoku do Lizbony, Kupidyn, zgromiony przez matkę za to, że dopuścił do powrotu pątniczki, wiesza się z rozpaczy na mircie, Wenus wynosi się z całym dworem z Lizbony, a Paskwalina „odniosszy to z Wenery i razem jej Syna — zwycięstwo niesłychane, na tym miejscu swoje — państwo ufundowała". Sale, dotychczas pełne tanecznic, przemieniła na klasztor, zbudowała przy nim kościół i w nim na wieczną pamiątkę zawiesiła łupy Kupidynowe; sama zaś zgromadziła koło siebie grono dziewic Westy i została ich ksienią, „czym więcej już daleko, niż słynąc z gładkości, — w wielkiej sławie dożyła i świętobliwości". Został po niej dla panienek przykład, by się kochały w swej ozdobie nie zewnętrznej, lecz wewnętrznej; by się zajęły pracą, od której najlepiej ostyga Wenus: by unikały żartów, śmiechów, gry w karty, a przedewszystkiem zalotnych spojrzeń, z których rodzi się Kupidynek i zakrada do serca. Mając się tak na baczności, każda go zwycięży, nie tylko Paskwalina. A gdy tak cały świat się zreformuje, to wróci znów wiek złoty, tem łatwiej, że już „Wenus rugowana i Kupido wisi".

Ten morał, jak i cały epilog, jest własnością Twardowskiego. Że jednak sama opowieść jest przeróbką Apulejuszowej baśni o sporze między Wenerą i Psychą i o zwycięstwie Psychy, tego dowodzą powyżej podane zestawienia. Paskwalina, to Psyche, jej dzieje, to dzieje Psychy, prześladowanej przez Wenerę i szukającej zbawienia. O ile ten rezultat jest pewny, o tyle nie rozstrzygnięta jest kwestya, czy to sam Twardowski dokonał tej przeróbki z Apulejusza, czy też zrobił to jakiś inny autor (czy hiszpański?), z którego on Paskwalinę w polski ubiór przemienił. Jeżeli Twardowski swą „Dafnidę" (z r. 1638) osnuł na włoskiem libretcie opery „Dafne" (1635), to czy nie mógł także treści baśni Apulejusza poznać z opery „Amor i Psiche" (1646)? Oczywiście, że mógł. Ale to libretto mogło go zaznajomić tylko z ogólnym tokiem baśni Apulejuszowej, podczas gdy po drobne nawet szczegóły, po pierwszej i trzeciej pieśni rozrzucone, musiałby znów sięgać albo do oryginału, albo do nieznanego pośrednika, który już baśń Apulejusza przekomponował w duchu antierotycznym. Od przyjęcia takiego pośrednictwa [1]) powstrzymuje nas nieudolność w użyciu i spleceniu motywów Apulejuszowych. Najjaskrawszym jej przykładem jest mechaniczne przejęcie z Apulejusza rozkosznego życia tryumfującej bohaterki i uzupełnienie go sprzecznem z tą koncepcyą życiem klasztornem. Takich szczątkowych motywów jest więcej. Amor z rozkazu matki strzela do Paskwaliny w pierwszej pieśni bez żadnego wahania się. Nagle w pieśni trzeciej (str. 100) przypomina sobie, że gdy mu matka kazała do niej strzelać, on „zepsować pięknego jej ciała — niewymownie żałując, — i ręka i pierze strzały złotej zadrżało", tak u Apulejusza (V., 24) Amor objaśnia Psychę przy odlocie, że otrzymawszy od matki rozkaz zranienia Psychy, po zobaczeniu jej nie potrafił tego uczynić, ale się sam zranił i w niej zakochał. — W rozmowie z Felicyą oświadcza Paskwalina gotowość pójścia przez „ognie i żelaza i najostrze noże — i co być trudniejszego do przebycia może", tylko przez wspomnienie niebezpieczeństw, przez jakie przeszła Psyche, zwłaszcza w podziemiu, ale których ona sama oglądać nie miała...

---

[1]) Prof. T. Grabowski i prof. Turowski z Krakowa w różnych czasach zwracali się do wybitnych znawców romansu hiszpańskiego ze streszczeniem romansu Twardowskiego i prośbą wskazania czegoś podobnego w literaturze hiszpańskiej przed r. 1655; obaj otrzymali z Hiszpanii odpowiedź, że tam romansu czy poematu tej treści nie znają.

Te motywy szczątkowe, te niekonsekwencye łatwo się tłumacza u autora, który pierwszy przerabiał rzymską fabułę na romans niby chrześciański. Autor, któryby tylko tłumaczył gotową już przeróbkę, wolny od troski o inwencyę, byłby te szkopuły zauważył i ominął. Istnienie ich u Twardowskiego, a przedewszystkiem istnienie „martwej“ księgi drugiej, zlepionej z reminiscencyj klasycznych i dla całości niekoniecznej, dowodzi, że Twardowski nie szedł drogą utorowaną, ale sam ją sobie torował, borykając się z fabułą Apulejusza.

Ale cóż w takim razie znaczy tytułowe wyznanie o przemienieniu Paskwaliny z hiszpańskiego w polski ubiór? Co trzeba sądzić o takich wyznaniach na tytułach romansów XVII w., objaśnię trzema przykładami: Jan Andrzej Morsztyn nazwał swą Psyche, przerobioną głównie z Marinowego Adonusa, a tylko w kilku ustępach (zwrotka 132, 141, 274—295 i przedostatnia), zależną od Apulejusza „Psyche z Apulejusza, Marina“. Ba, przed Apulejuszem wymienił także — Lucyana[1]), jako że i ten pisał „Osła“, za którego przeróbkę uchodziły „Metamorfozy“ Apulejusza. Poezya barokowa była uczona, a uczoność tę zaznaczano i w tytułach — ostentacyjnych. — Tytuł romansu Wacława Potockiego brzmi: „Syloret, albo prawdziwy obraz nieosłabionego najdotkliwszemi przeciwnościami męstwa, ...z starodawnej historyi, z różnych greckich i łacińskich pisarzów wyjęty i odmalowany, a przez W. Potockiego... w rymie polskim żywszemi kolorami wzmocniony.“ Owi różni greccy i łacińscy pisarze, z których Potocki wyjmował romansowe wątki (nie tylko drobne szczegóły), to Heliodor („Aethiopica“) i Apulejusz („Metamorfozy“). — Polski tłumacz „Historyi numidyjskiego królewicza Ormunda i córki cesarza jerozolimskiego Libeiny“ (z oryginału F. Pona, 1635) twierdzi w przedmowie, że historyę tę przetłumaczono najpierw z greckiego na polskie wiersze, ale że ta forma niejednemu czytelnikowi się nie podoba, on przerobił ją na prozę. — Oczywiście żaden grecki oryginał, ani nawet bezpośredni wzór Ormonda, nie istniał. Wreszcie widziała Polska w tych czasach i Korneillowego

---

[1]) Chlebowski sądził, że imię to trzeba poprawić na Luciusa i odnieść do Apulejusza, którego rzeczywiście w dawnych wydaniach tak nazywano, na podstawie identyfikacyi z bohaterem „Metamorfoz“, Luciusem. Ta konjektura byłaby potrzebna tylko wtedy, gdyby Lucyana w inny sposób objaśnić nie było można. To objaśnienie podaje się w tekście.

Cyda, tłumaczonego „z hiszpańskiego". Wszak bohater był Hiszpanem.

Te przykłady wystarczają do stwierdzenia, że źródłowe wskazówki w tytułach czy przedmowach romansów polskich XVII. w. trzeba brać bardzo ostrożnie. Twardowski mógł śmiało napisać, że historyę swą wyjął z różnych greckich i rzymskich pisarzów, bo i greccy, i zwłaszcza rzymscy autorowie dostarczyli mu wielu motywów. Ale że to wtedy hiszpanszczyzna i w stroju i w etykiecie była modna, że romans hiszpański tyle wtedy znaczył, co dziś jeszcze paryski, wolał zaznaczyć, że daje rzecz modną — z hiszpańskiego. Tej fikcyi nie brakło zresztą realnej podstawy w tem, że jeden epizod przerobił rzeczywiście z hiszpańskiego. A że i bohaterkę przeniósł z Włoch do Lizbony, która wtedy była pod panowaniem królów hiszpańskich (Filip II.) i wyraźnie zaznaczył, że Lizbona „miasto jest w Hiszpaniej ku zachodu słońca", uważał swą opowieść nietylko ze względu na rodzaj literacki, ale także ze względu na teren i koloryt za — hiszpańską. Zamiast więc napisać: powieść hiszpanska, wolał zaznaczyć: z hiszpańskiego.

Rzeczywistym stosunkom źródłowym lepiej odpowiadałby tytuł taki: „Nadobna Paskwalina z Apulejusza, Owidyusza i innych pisarzów rzymskich i greckich wzięta i polskim rymem wyrażona." Na zapożyczki z Owidyusza wskazał już ogólnikowo R. Pilat [1]), który też zauważył pewne reminiscencye z Wergiliusza [2]) i tak sformułował ogólne wrażenie w tym kierunku: „Bez przesady można powiedzieć, że poemat prawie się ugina pod ciężarem reminiscencyj klasycznych i ozdób, zapożyczonych z mitologii klasycznej [3])." Ornamenty mitologiczne są tak powszechne w całej poezyi barokowej (jak przedtem humanistycznej, a potem klasycystycznej), że ich zabranie nie przyrzuciłoby nic do charakterystyki autora; natomiast zestawienie reminiscencyj z literatur klasycznych da nam poznać erudycyę Twardowskiego w tym kierunku i jego specyalne upodobania. Epiczne inwokacye, wzorowane na Eneidzie, zanadto były oklepane, aby je zawsze można było wywodzić wprost z Eneidy. Ponieważ jednak opowieść Twardowskiego po inwokacyi zaczyna się od słów: „Miasto jest w Hiszpaniej...", które odpowiadają początkowi właściwego opowiadania Eneidy (w. 12): „Urbs antiqua fuit...", wolno i poprzedzającą inwokacyę uważać za zależną od słów:

---

1) j. w., str. 131.
2) tamże.
3) tamże.

„Arma virumque cano...“; w obu wypadkach po streszczeniu akcyi czytamy prośbę o natchnienie: „Zagnaj mię złotowłosy... Febie!“ = „Musa mihi causas memora...“ Opis Lizbony zawiera w sobie szczegół o białej płci kobiet i takie objaśnienia (ajtiologię): „Snadź kiedyś Athlantydy zbiegła — w te kraje od ojca, dla jego srogości, — murzynki urodzone, żeby się z czarności — swej wyzuły i za tym poznane nie były — od pogoni za sobą, to się tu umyły — wodą morską i zaraz jako śnieg ozdobne — ciała wzięły.“ Atlantydy, to córki Atlasa i Plejony, zwane także Plejadami, które ścigane przez Oriona uciekały, póki ich Jowisz nie przemienił w gwiazdy. Z tego opowiadania Owidyusza („Fast.“, 159 i n.) zatrzymał Twardowski tylko motyw pogoni; z Wergiliusza („Georg.“, I., 221) wziął imię Atlantyd, ale samą przyczynę ucieczki (srogość [1]) ojca), czarność dziewic (wywiedzioną z faktu, że Atlas jest Mauretańczykiem), a wreszcie odmianę cery w kąpieli sfingował [2]).

Wenus przybywa z Cypru do Lizbony „jakoby w obłoku — niegdy Eneaszowym“, według Aen., I., 411 i n., 439, 580. Obrazy na mozaice jej pałacu przedstawiają Heraklesa na łonie — Jole; Tezeusza, szukającego w labiryncie — pięknej Aryadny; Jowisza, jako byka przy Europie, łabędzia przy Ledzie; Saturna, skradającego się do Rei „przez agresty kolące“; Marsa z Wenerą w sieci Wulkana; Sylena z Atalantą; Enomansa, łamiącego z wozu szyję; wreszcie wszeteczną krowę Paryfai. — Sam pomysł przedstawienia tryumfu Wenery nad bogami i bohaterami we formie opisu obrazów mógł przejąć Twardowski n. p. od Achilleusa Tatiosa (I. wyd. z r. 1601), który zaczyna swój romans o Leukippie i Klitofoncie od opisu obrazu, przedstawiającego porwanie Europy przez Zeusa-byka; ale tego rodzaju sztuczki techniczne spotykamy i u nowszych romansopisarzy, nie najmniej u Montemayora. Bez znajomości tych wzorów byłby Twardowskiemu wystarczył i Wergiliusz (Aen., I., 455 i n.), opis rzeźb ilijskich na świątyni Junony w Kartaginie. Treść swych obrazów zaznacza Twardowski prawie samemi nazwiskami, tak, że niema potrzeby znajomości odnośnych mitów wywodzić z pewnych autorów, n. p. z Owidyusza. Jest to popularna mytologia, nie wolna zresztą od niedokładności. Tak Herkules

---

[1]) Werg. (Aen., IV., 247) spostrzega Merkury szczyt Atlantis duri i zdaje się, że ten epitet dał Twardowskiemu asumpt do zmyślenia srogości Atlasa.

[2]) Na końcu poematu trzyma się wierniej tradycyi klasycznej, przemieniając Plejady w — gwiazdy.

„w skórze lwa nemejskiego piastuje wrzeciono — na łonie u Jole", podczas gdy według tradycyj starożytnych pogromca lwa nemejskiego zajmował się robotami niewieściemi w niewoli u lidyjskiej Omfali (n. p. Owid. Heroid., 9, 101 i n.), podczas gdy ostatnia jego miłość. Jole (córka króla Ojchalii), bynajmniej nie nadwątliła jego godności bohaterskiej i w spadku po umierającym śmiercią gwałtowną dostała się jego synowi. Drugie nieporozumienie dotyczy Tezeusza, który „po zdradnej — szuka nici umyślnie pięknej Aryadnej — w labiryncie zawiłym". Bohater bowiem szukał w labiryncie — Minotaura, a zabiwszy go, wrócił z pomocą nici (bynajmniej nie zdradnej) do Aryadny. — Dlaczego Jowisz, skradający się do Danay, zamkniętej przez ojca we wieży, pod postacią deszczu złotego, nazwany jest „w gruncie wybity", trudno odgadnąć. Wreszcie czołganie się na kolanach przez agresty kolace poważnego Saturna do niemniej poważnej Rei zakrawa na — Offenbachiadę, której przykładów znajdziemy u Twardowskiego więcej. Jeśli Atalancie dał za gacha Sylenusa, który ją o coś żebrze, a ona „potym" ucieka, to może przez wspomnienie Owidusza (Ars., II., 185), gdzie czytał, jak oporna na miłość Atalanta uległa wreszcie zabiegom Milaniona, albo przez wspomnienie Propercyusza (El., I., 1, 9 i n.), u którego Milanion: velocem potuit domnisse puellam: — tantum in amore preces et benefacta valent". Estem preces — byłoby żebranie o coś, refleksem benefacta — jakieś „fanty". Wzmianka o Enomauszu, łamiącym z wozu szyję, odnosi się do mitu, według którego król Pizy, Oenomur, ojciec pięknej Hippodamii, dowiedziawszy się od wyroczni, że go zięć zabije, zabił sam wszystkich konkurentów podczas wyścigów na rydwanach, o rękę córki odbywanych, póki nie stanął do zawodów ukochany przez Hippodamię, Pelops. Wtedy Hippodamia pozyskała woźnicę króla, by usunął z kół rydwanu sforzenie. To było przyczyną śmiertelnego wypadku króla. Jeśli więc Twardowski pyta: „O korzyść czyję — zdradzony Enomausz łamie z wozu szyję?", to ma na myśli korzyść Hippodamii, zakochanej w Pelopsie.

O Paskwalinie pisze poeta (str. 6), że „jako między gwiazdami delijska Latona — napiękniejsza słynęła". Pomieszał tu matkę z córką, Latonę z delijską Dyaną, która rzeczywiście jako księżyc błyszczy między gwiazdami, podczas gdy Latona wśród gwiazd miejsca niema. Poprawił się, pisząc potem (str. 7): „Jaka Phebe bywa, — kiedy głowę zupełną swoje rozczasywa, — sama jedna wiedzie rej, a daleko od niej — światła insze zostają niebieskich pochodni". Jest to rozprowadzenie porównania Owidyu-

szowego (Met., II., 722): „quanto splendidior quam cetera sidera fulgat — Lucifer et quanto quam Lucifer aurea Phoebe, — tanto virginibus praestantior omnibus Herse“. Służebne fryzują Paskwalinie włosy, „jakoby je do ślubu Trojańskiej Heleny — piękniej nie utrafiły drużące Laceny“ (str. 10). Tej sceny nie malują autorzy starożytni, ale Teokryt (Id., 14) opowiada, jak Lakonki śpiewały pieśń weselną przed sypialnią Heleny i Menelaosa. Troska ich o panią, idącą za mąż, dała Twardowskiemu asumpt do wprowadzenia ich w roli służebnic, ubierających ją do ślubu. Stella, ostrzegając panią przed emulacyą z Wenerą (str. 14), przypomina jej historyę Mirry, która zapłonęła nieszczęsną żądzą do własnego ojca, Cinirasa. Poszczególne rysy wzięte są z Owidyusza „Metamorfoz“ (298 i n.), z tą odmianą, że Twardowski namiętność Myrrhy uważa za karę, zesłaną przez Wenerę na córkę za pychę matki, Alcinoe. Ta też matka pełni u niego rolę pośredniczki, podczas gdy u Owidyusza czyni to mamka (w. 302 i n.). W oryginale łacińskim (w. 472 i n.) Cinyras przy świetle poznaje, że spędził noc — z córką i chwyta za miecz: w streszczeniu polskiem dowiaduje się o osobie kochanki „we śnie od Merkurego“. Widocznie Twardowski pamiętał lepiej, jak to Merkury w Eneidzie nieraz we śnie przynosi rozmaite upomnienia i przestrogi Eneaszowi, niż jak to tam opowiadał Owidyusz.

W opowiadaniu Stelli o winie, popełnionej wobec Wenery przez matkę bohaterki (str. 16), spotykamy najsilniejszą licencyę literacką Twardowskiego. Montemayor opowiadał, że mąż czytał jej historyę Parysa, jakto trzy boginie uczyniły go sędzią swej piękności: le comançò a leer aquella historia de Paris, quando las tres deas se pusseron a juycio delante del... Twardowski chce być dokładniejszym i cytuje jako źródło tego opowiadania — „Homerową kosztowną Iliadę“. Widać jej nigdy nie czytał. — Wenera, przedstawiając Amorowi pychę Paskwaliny (str. 22), mówi, że z powodu takiej pychy „Jowisz z nieba spycha swe Cyklopy, obraca kędło Icyona, i niesyty na wieki sęp żre Tycyona“. Mniejsza o nazwanie tytanów — Cyklopami, skoro obok popularnej wersyi o Cyklopach, pomocnikach Wulkana, kujących Jowiszowi w Etnie gromy, istniała też inna (Apollod., I. 1) o Cyklopach, strąconych do Tartaru przez Caelusa, zkąd ich z pomocą tytanów wydobył według jednych Saturn, według drugich Jowisz; ale przecież Ixion nie z powodu pychy, lecz z powodu targnięcia się na cześć Junony, skazany został na rozpięcie na wirującem kole; podobne było przewinienie Tityosa, który zapłonął żądzą do Latony. Jeśli

go Twardowski nazywa nie Ticyuszem, lecz Ticyonem, to zdaje się przez wspomnienie Wergiliusza (Aen., VI. 595): „nec non et Tityon... voltur... immortale iecur tondens“. Z łacińskiego akkusatiwu zrobił Twardowski nominatiwus Tycyon.

Opowieść o nieszczęśliwej miłości Paskwaliny do Oliwera zaczyna się opisem nocy [1]), w której bohaterka nie znajduje spoczynku, „gdy miłość ją piecze i rana już żarliwa“ (str. 25). Ostatni frazes dowodzi, że poeta ma przed oczyma Eneidy koniec ks. III. i początek IV., gdzie czytamy, że Eneasz poszedł spać, a Dydona „gravi cam dudum sancia cura volnus alit venis et caeco carpitur igni“. Przed bezsennemi oczyma stoi Oliwer, jak w Eneidzie (IV., 4): „haerent infixi pectore voltus“. Dalsze wahania się Paskwaliny, czy ma ukochanemu „beśpiecznie — przyjaźń swoją otworzyć i zajęty wydać — w sobie ogień“, czy też ma się „wstydać rady swojej źle zdrowej“ [2]), mają wzór w podobnych wahaniach się Myrrhy u Owidyusza (Met., X., 371): „et modo desperat, modo vult temptare, pudetque — et cupit et, quid agat, non invenit“. Owidyuszowe porównanie (w. 372 i n.): „utque securi — saucia trabs ingens, ubi plaga novissima restat — quo cadat, in dubio est, omnique a parte timetur“ — rozprowadził Twardowski [3]) szczegółowiej: „Jako więc w starożytnym drzewie, — gdy zewsząd je podetną siekierami chłopi, — a jeden już ostatnią plagę w nim utopi, — długo sobą kołysze, na którą się stronę — ma obalić.“ Wahania swoje kończy Paskwalina monologiem Owidyuszowej Medei (Met., VII., 17 i n.): „Excute virgines conceptas pectore flammas, — si potes, infelix! si possem, sanior essem: — sed trahit invitam nova vis, aliudque cupido, — mens aliud suadet: video meliora proboque — deteriora sequor!“ Twardowski miejsce to parafrazuje z powołaniem się na wzór (str. 26): „Że zatym w rozmowę się one — wda z Medeą: Hej, wyrzuć z serca te płomienie, — dziewko biedna, możeszli? Gdyby mi baczenie — wodzem było, mogłabym: ale jakiś nowy — gwałt mię zewnątrz porywa, czego trudno słowy — mam wymówić. Rozum mi radzi

[1]) Szczegół o czarnych snach i głębokich cieniach, ku ludzkiemu wytchnieniu wywodzonym gdzieś ze dna stawu Erebowego, ma swe źródło w Werg. Aen. (VI., 283), gdzie przy opisie wejścia do Orku (primis in famibus Orci) jest mowa o mieszkaniu snów (Somnia vana).

[2]) Na wzór łacińskiego: „consilium male sanum, insanum“. Verg. Aen., IV., 8: (Dido) adloquitur male sana sororem.

[3]) Jak to już zauważył R. Pilat („Historya literatury polskiej“, III., 131 extr.).

co inszego. — a inszego Kupido: widzę, co lepszego — i co złe rozeznawam, a przecież gdzie gorzy — tam iść muszę...“

Bohaterka zdecydowała się na wyznanie miłości ukochanemu w liście. R. Pilat [1]) starał się dowieść, że tak ten list, jak odpowiedź Oliwera, i późniejsze rady Stelli, naśladowane są z „Histori de Eurialo et Lucretia se amantibus“ Eneasza Silvio Piccolominiego, utworu przerobionego (między 1560—1575) także na polski przez Krzysztofa Goliana. Jako pierwsza zapożyczkę przytacza przytoczony powyżej monolog Paskwaliny. Ponieważ, jak widzieliśmy, Twardowski kazał Paskwalinie „wdać się w rozmowę z Medeą“ i ponieważ ta rozmowa jest parafrazą monologu Medei z Owidyusza, pierwsza paralela Pilata świadczy tylko o tem, że i Eneasz Sylwiusz naśladował ten sam ustęp „Metamorfoz“ Owidyusza. Natomiast dalsze wyjątki z listów Euryala i Lukrecyi, jakkolwiek i one są naśladowane z Owidyusza „Heroid“, były rzeczywiście źródłami listów Paskwaliny i Oliwera. Za dużo w nich bowiem tych samych odstępstw i interpolacyi tekstu Owidyusza, aby obaj autorowie mogli byli dojść do nich na własną rękę; ponieważ to niemożliwe, Twardowski nie wprost z Owidyusza tu korzystał, ale za pośrednictwem Eneasza Sylwiusza. To samo odnosi się do początku rad Stelli (str. 36), naśladowanych u Eneasza z Owidyusza, ale przez Twardowskiego przejętych od niego. Mimo to miał Twardowski świadomość, że się tu obraca w kole „Heroid“ Owidyusza, skoro w rozmyślaniach Oliwera, snutych po odebraniu listu Paskwaliny, każe mu wspomnieć Tezeusza, „pasującego się z myślami srogiemi“ o Aryadnę, Jazona, który uśpił smoka z pomocą Medei i Leandra, co „swej nagrody (nie) wziął, póki wprzód nie napił się wody“. Są to tematy Her. X., XII., XVII.

Paskwalina, narzekając na utratę dobrej sławy przez odkrycie jej oświadczenia się żonatemu Oliwerowi, powiada (str. 31): „Cóż teraz Paskwalina jedno bajką będzie — ludzką marną“. Jest to frazes poetów rzymskich, n. p. Hor. Epod., 11, 7: „Heu me per urbem... fabula quanta fui“, por. Epist. 1, 13, 8; Tib. 1, 4, 75: „Parce, puer, quaeso, ne turpis fabula fiam“. Okna, przez które dla chwały próżnej się pokazywała, chciałaby teraz Paskwalina zaćmić „cymmeryjskim wieczorem“. Te *Cimmeriae tenebrae* były u Rzymian przysłowiowe na oznaczenie gęstej ciemności. Za Homerem (Od., 11, 14) opowiada o nich n. p. Tib. 4, 1, 64: „Cimmeriorum etiam obscuras accessit ad arces (sc. Ulixes), — qui-

[1]) tamże, str. 132 i n.

nunquam candente dies apparuit ortu. — sine supra terras Phoebus seu curreret infra." — Jeśli nie zdoła połączyć się z Oliwerem, „owo pas i owo — w górę podwoi". Od wykonania zamiaru powieszenia się na drzwiach za przykładem Owidyuszowej Myrrhy (Met. 10, 378 i n.) powstrzymuje ją zemdlenie: „Jako więc omdleje — śliczny w sadzie Hiacynth, kiedy nań zawieje — przykry Auster..." Wergiliusz (Aen. 11, 69) porównywa zwłoki Pallasa z zerwanym kwiatem *lanquentis hyacynthi*, a Ecl. 2, 58 narzeka na Auster, gubiący kwiaty. Porównanie umierającego czy mdlejącego z kwiatem ściętym czy zwarzonym przez wiatr, znane już Homerowi (Il. 8, 306) powtarza się często w poezyi rzymskiej n. p. Catull. 11. 22; Verg. Aen. 9, 435; Ow. Ars 2, 113; Met. 10, 190; Sen. Phaedr. 764; Stat. Silv. 2, 1, 106, 3, 3, 127 etc.

Przejście do Stelli, która „z dalszego aż pokoju szaszorem (?) przypadnie", wzorowane znów na historyi Myrrhy (Owid. 10, 382); jej upomnienia, a zwłaszcza powoływanie się na historyę rodziców, jako na środek przestrogi przed gniewem bogów, mają wzór u Owidyusza n. p. Met. 6 i n.; 9, 325 i n.; 14. 695 i n. Mimo początkowych upomnień Stelli, Paskwalina nie może zapomnieć o Oliwerze (str. 34), „raz blada i sina — a raz jako Thyada, kiedy ją zacina — pod Zapusty Eumenis, ciężko zapierzona", por. Verg. Aen. 4, 301 (o Dydonie): „bacchatur, qualis commotis excita sacris — Thyias, ubi audito stimulant trieterica Baccho — orgia..." Gdy Paskwalina (str. 35) oświadcza się z gotowością pójścia „choćby przez scytyjskie — grube śniegi i błota niedoschłe laryjskie, — krzemienistą Itahę, Tajgetowe głogi, — lasy i niezmierzone hercyńskie ołhnogi", to w pomyśle powtarza słowa Horacego (C. I., 22, 5): „sive per Syrtis iter aestuosas, — sive facturus per inhospitalem — Caucasum vel quae loca fabulosus — lambit Hydaspes", lub Epod. 1, 11: „te vel per Alpium iuga — inhospitalem et Caucasum, — vel Occidentis usque ad ultimum sinum — forti sequemur pectore" (por. Verg. Ecl. 10, 50 i n.); w szczegółach czerpie kolory z różnych garnuszków: scytyjskie śniegi, to *Scythicae pruinae* wierszowanego sporu między Florusem a Hadryanem; błota laryjskie, to chyba ów brzeg, o którym wspomina Katullus 36, 4 *Lariumque litus*, brzeg jeziora laryjskiego, zasilanego przez Adygę. W ten sposób Twardowski określił najdalsze punkty północne i południowe. Na wschód poszłaby bohaterka aż do krzemienistej Itali, którą też Wergiliusz (Aen. 3, 272) nazywa *ardua saxis* i na zachód aż do *saltus Hercynius* (Tac. Germ. 30, 1).

Erudycyą geograficzną popisuje się też poeta, gdy powiada (str. 351), że okrutny Amor nie narodził się z łona Cyterei, ale „z twardej Abnoby". Abnoba, to według Pliniusza (Nh. 4. 12) góra Germanii, z której wypływa Dunaj. U Wergiliusza (Ecl. 8, 43 i n.) nieszczęśliwy kochanek złorzeczy, że Amora na twardych skałach wydał Tmaros (w Epirze), albo Rodope (w Tracyi), albo Garumanci (w Afryce podwzrotnikowej), a nie istoty ludzkie. W dziwny sposób zaklina Paskwalina Amora (str. 35), by uśmierzył w niej „gorącość" miłosną: „Mógłeś Marsa wyraić Matce swojej w Lemnie, — mógł chłopca Adonida i nieznaną schwalić — Dafne Apollinowi: czemu i mnie palić — dasz się próżno?" Tertium comparationis bardzo kulawe, stosuje się tylko do pierwszej części: bo jeśli Marsa zraił Wenerze [1]), jeśli tejże Wenerze zraił Adonisa (Met. 10, 524 i n.), to Paskwalinie może zraić Oliwera: ale do Dafny obudził tylko bezwzajemną miłość Apollina (Met. 1, 452 i n.), jak do Oliwera Paskwaliny: więc gdzież zastosowanie? W związku z temi historyami z „Metamorfoz" Owidyusza wyraża Paskwalina życzenie, by ją Amor „w weny — mokre rozpuścił i przemienił w słodki zdrój Pireny". O powstaniu Pireny, źródła Muz pod Akrokoryntem, z jakiejś nieszczęśliwie zakochanej nimfy Owidyusz nie opowiada: natomiast znajdujemy u niego taką metamorfozę n. p. Cyany (Met. 5, 425 i n.).

By Paskwalinie miłość wybić z głowy, przypomina jej Stella (str. 36), że przez miłość „tak Parys, tak Dejfobus w niej poprzepadali, — nawet duży Herkules". O tem, jak miłość Heleny zgubiła Parysa i Troję, powszechnie wiadomo. Po śmierci Parysa poślubił ją Deiphobus, który u Wergiliusza (Aen. 6, 511) żali się, że go zgubił scelus exitiale Lacaenae (t. j. Heleny). Herkules ośmieszył się miłością Omfali, do śmierci zaś jego przyczyniła się ostatnia miłostka z Iolą o tyle, że zazdrosna o nią Dejanira posłała mu palącą koszulę Nessosa. Do tych przykładów mitologicznych dodaje Stella trzy przykłady filozofów, opętanych przez hetery, na podstawie tradycyi średniowiecznej, znanej choćby tylko z Waltera Burlaja „Żywotów filozofów": „Arystotelesa Thais osia-

---

[1]) Owid. Met. IV, 171 i n. Ponieważ oszukany mąż, Wulkan, miał pracownię na Lemnos i zastawił na cudzołożców sieci i ponieważ w w. 185 nazwany jest Lemnius, Twardowski zlokalizował tę historyę na Lemnie.

dała, — Arystyppa Lidya po linie spuszczała, — Zeno w koszu znaleziony". Wyciąganie w koszu do góry łączono też z Wergiliuszem. Stoik Zeno, skryty w jakimś koszu przed zazdrosnym mężem. jak jaki kochanek Bokkaccia. mniej jest popularny.

Tadeusz Sinko.

(Dokończenie nastąpi.)

Stare rusko-polskie rody na Rusi do końca XVI. wieku.

(Dokończenie).

II. Olizarowie-Wolczkiewicze.

Paprocki nie zapisał Olizarów w Herbach rycerstwa polskiego, jako rodu odrębnego. Pośród rodzin litewskich Kojałowicz nie wymienił ich także, ale natomiast rozpisał się szeroko Niesiecki. korzystając, o ile się zdaje, nie tyle z dokumentów,' ile z fantazyi rodzinnej, na której genezę rodu Olizarów oparł. Sięganie w daleką przeszłość, ażeby tem chlubniej zaznaczyć swoje pochodzenie, było bardzo rozpowszechnione śród szlachty polskiej w ogóle. Im ktoś większego imienia dorobił się, tem chętniej rad był się chwalić starożytnością swego rodu. Zdarzało się to jeszcze częściej tym, którzy się żadnego imienia nie dorobili, a całą chwałą ich bywał rodowód — z fantazyi.

Ponieważ imię Eleazar, w skróceniu ruskiem Olizar, było w owym czasie, w XV. i XVI. nawet wieku, dość rozpowszechnione. ztąd przy formowaniu się późniejszego nazwiska z patronimicum, spotyka się dość często Olizarów i Olizarowiczów, których do wspólności i jedności rodowej doprowadzić niepodobna.

Po rozpatrzeniu się w gmatwaninie genealogicznej Olizarów, da się odróżnić dwie gałęzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa obce sobie — o czem mowa będzie.

Niesiecki, wyszukawszy Eleazara Bulka, księcia w Serbii pono, powiada. że od niego „początek domu zasięga". Miał on być

zabity przez Turków w roku 1390. Stefan Bulkowicz syn jego, z księstwa przez pohańców został wyzuty w r. 1427, ale już w r. 1442 Murat, car turecki, synowi Stefana, Jerzemu, ojczyste państwo przywrócił: a siostra jego, Marya, miała być żoną Bajazeta, była z nim „dożywotnie zmówiona“ — jak się wyraża Niesiecki. Murat oślepił synów Jerzego — Jerzego i Stefana. Trzeci syn, Łazarz, objął panowanie we własnem księstwie, a Marya została żoną Murata II. Od Stefana byli synowie, między innymi Lupus, mąż serca wielkiego, i Jerzy[1]). Dość i tego.

Na tem się urywa wypis Niesieckiego z Parisiusa. Jakie koligacye serbskich Olizarów były z wołyńskimi, tego się nietylko nie dowiadujemy od Niesieckiego, ale i dowiedzieć nie możemy, — bo ich nie było. Całe powinowactwo polegało na tożsamości imienia. Nawet sami Olizarowie, którzy zapewne informowali Niesieckiego, nic w tym względzie powiedzieć mu nie umieli. W samej zaś rzeczy nie potrzebowali Olizarowie szukać rodowodu swego w Serbii, gdyż byli równie starym rodem wołyńskim, jak owi książęta serbscy. Nie będziemy przeto sprawdzać nawet wersyi Niesieckiego, tak ona nie ma najmniejszego związku z Olizarami-Wołczkiewiczami, jakkolwiek Lupus — w tamtoczesnej łacinie, — zapewne starosłowiański Wołk, i w Serbii dałby się bez trudu odszukać.

Mimo, że Niesiecki zapisał ową serbską wersyę o genealogii Olizarów-Wołczkiewiczów — może gwoli opowiadającego, — wiedział jednak dobrze, że i na Wołyniu nie brak było ani Eleazarów, ani Wilków, Wilczków, Wołków i Wołczków, z którymi bliżej mogli być związani późniejsi Olizarowie, niż z książętami serbskimi. Na całej Rusi spotkać można było Olizarów. W województwie bełzkiem, na przedmieściu Bełza siedział Iwaśko Olizarowicz i płacił 30 groszy czynszu[2]). Olizar Mankowicz zapisany jako „poddany“ Święcickiego w połowie XVI. w.[3]). To samo można powiedzieć o Wołczkach; są nawet więc i nazwiska tego imienia[4]). Dla przykładu i to wystarczy.

Taką samą rozmaitość stanów i fortun znajdujemy także w herbach. Wołczkowie jedni pieczętowali się Prawdzicem, drudzy

[1]) Niesiecki, t. VII., 85.

[2]) Żerełа do istorii Ukrainy-Rusi. Lwów. T. III, str. 139.

[3]) Archiwum ks. Sanguszków. T. IV.

[4]) Aleks. Jabłonowski: Polska XVI. w., t. XX, str. 174, 232, 668; 537, 591, 702.

Wadwiczem — jak powiada Kojałowicz w swoim Herbarzu[1]. — ale jakie było między nimi powinowactwo rodzinne i czy było — nie kusimy się rozwiązania tej zagadki, pozostawiając to zadanie fachowym heraldykom. W ogóle nie mamy zamiaru dotykania kwestyi pochodzenia herbu tej rodziny, — pragniemy jeno prześledzić, o ile się da, chronologicznie rozwój jej na drodze historycznej.

Jakiež jest rzeczywiście pochodzenie Olizarów-Wołczkiewiczów? Linia ta, jak obaczymy, była spokrewniona z Filonem Kmita Czornobylskim: tu znajdujemy najważniejszą wskazówkę, bo na dokumencie opartą, która ułatwi nam rozwiązanie właściwej zagadki. Dwa były rody na Wołyniu, związane z nazwiskiem Olizarów, których pokrewieństwo nie da się, według posiadanych przez nas dokumentów, uzasadnić. Pisze wprawdzie Niesiecki, że jakiś Olizar Wasilewicz podpisał w r. 1401 pokój wieczysty Litwy z Polską, a Fedko Olizarowicz otrzymał, jako wysługę, Kniehinin, a nadto wziął niektóre dobra w ziemi krzemienieckiej od króla, t. j. Studziankę, Szepecin i Buszczę[2], — ale dowodów na to nie przytacza. A wiadomości same są wątpliwe.

I W ziemi wołyńskiej spotykamy Newerę Wołczkiewicza, który miał trzech synów: Olizara (Eleazara = Łazarza), Panasa i Niemirę, a będąc posiadaczem majętności ziemskiej Czerniawczyce i Turnie, zamieniał je w r. 1477 z Iwaszkiem Iliniczem na wsie, w powiecie krzemienieckim, Studenkę i Hruzkę[3]. Przy zapisie Olechna Dowojnowicza żonie swojej Wasce w wianie „dworu Tarasowicze“ w r. 1459, podpisany jako świadek Fed'ko Olizarowicz[4]. Jeżeli Niesiecki, błędnie wyczytawszy, zamiast Hruzki napisał Buszczę, to ów Fed'ko Olizarowicz mógł być synem Niemiry. Ale tu dalsza filiacya zaciera się, prawdopodobnie z tego powodu, że coraz bardziej zanika formowanie się nazwisk rodowych z patronimicum, a modą do pewnego stopnia staje się przyjmowanie, wzorem szlachty polskiej, nazwisk rodowych od majętności ziemskich, jako mniej bałamutne.

---

[1]) Kojałowicz: Herbarz (wyd. Piekosińskiego), str. 240. 320.

[2]) Niesiecki: Herbarz, t. VII., str. 85: Archiwum ks. Sanguszków, t. I., str. 73.

[3]) Archiwum ks. Sanguszków, t. I., str. 73. Studzianka dziś w powiecie dubieńskim; Hruzka w powiecie wołkowyskim. Wołczkiewicz raz ma imię (?) Nemera, drugi — Newera: widocznie oba te imiona mają w dokumencie znaczenie identyczne.

[4]) Ibidem, str. 52.

Jakkolwiek Fed'ko Olizarowicz podpisał się na zapisie Olechny Dowojnowicza jako „pan“, coby dowodziło większego znaczenia w państwie, nie znajdujemy go w dokumentach współczesnych na żadnem wyższem stanowisku.

Równorzędnie prawie z tym Fed'kiem występuje inna linia Olizarów-Szyłowiczów, która przez krótki czas zajmuje wybitne stanowisko i, jak poprzednia, przemienia zapewne nazwisko i znika. W tem nazwisku Olizar występuje jako imię, pochodne od Eleazara, coby wskazywało, że albo ów Olizar był synem Szyły, lub w ogóle z rodziny Szyłów pochodził. Istotnie, najdalej sięgając w przeszłość, już w roku 1430 spotykamy się z tem nazwiskiem. Gdy ks. Świdrygiełło w tym roku nadawał Iwanowi Mukosiejewiczowi wsie w powiecie łuckim: Małów, Ochmalków, Paszewo i Zołoczów, a w krzemienieckim: Borszczówkę, Rydoml, Ustje, Biełkę i Ożchowce, na dokumencie miedzy innymi świadkami wybitnymi, jak „pan Sanguszko“, „pan Kazaryn, Marszałek łuckiej ziemi“, „pan Jursza, były starosta łucki“, podpisał się także „pan Hawryło Szyło[1]). Towarzystwo, w jakiem się znalazł pan Hawryło, dowodziłoby, że i sam należał, acz bez urzędu żadnego, do znaczniejszych „panów“ ziemi wołyńskiej. Ów Szyło był prawdopodobnie protoplastą tych Olizarów, którzy się pisali Szyłowiczami. W r. 1475 był Olizar Szyłowicz starostą włodzimierskim i marszałkiem ziemskim. Uskuteczniając dział majątkowy książąt Semena i Michała Zbaraskich po śmierci Sołtana Zbaraskiego, niewzruszoność tego dzieła poręczył między innymi Olizar Szyłowicz, starosta włodzimierski[2]).

Był on żonaty z córką Jurszy, który w r. 1431 był starostą łuckim, a od r. 1437—1448 wojewodą kijowskim[3]). Olizar Szyłowicz umarł prawdopodobnie około roku 1485, gdyż Fed'ka, żona jego, już w r. 1486 prosiła Kazimierza Jagiellończyka, ażeby jej, jako wdowie po mężu, staroście łuckim wówczas, przyznał prawo władania majętnościami Zdołbicą, z przysiółkami Jelińskiem i Kunikiem, a „praojczyznę“ i „ojczyznę“ męża, wieś

---

[1]) Archiw Jugo-Zapad. Rossii, cz. VIII., t. IV., str. 8.

[2]) Archiwum ks. Sanguszków, t. I., str. 71; Wolff: Senatorowie, str. 21, 22.

[3]) Poczet rodów, str. 114. Rulikowski zapisuje go jako wojewodę pod rokiem 1437. Oczywiście, był to tytuł tylko, skoro urzędownie utworzono województwo dopiero 1471 (Powiat Kijowski, str. 179; przypiski, str. 206).

Lubezę, aby pozwolił oddać lub podarować, komu zechce, z krewnych swoich [1]). Król przychylił się do jej prośby, pozwalając testamentem zapisać Horochów z przysiółkiem Lubczą, komu zechce [2]), listem z dnia 11 listopada 1487 r. W rok niespełna potem, bo już d. 17 lipca 1488 r., Fed'ka zapisała siostrzeńcowi swemu księciu Bohdanowi Wasilewiczowi. Lubezę z przysiółkami Dorosynem, Druzką, Zalescami i Ostrowem-Kozinem [3]). We wrześniu 1489 r. Kazimierz Jagiellończyk potwierdził księciu Bohdanowi Wasilewiczowi zapis Fed'ki Olizarowej-Szyłowiczowej [4]). W zapisie księciu Bohdanowi Lubezy z przysiółkami (17 lipca 1488) wspomniana także wieś Foceń, jako wiano Fed'ki, „ojczyzna“ jej męża Olizara. Jest to prawdopodobnie ten sam Foceń, który jako Choteń wymieniony jest w rozdawnictwie włości bojarom żytomierskim i kijowskim. Ów Choteń był najprzód nadany Seńkowi Radonowiczowi, a następnie Iwaszkowi Woronie „na rok jeden“. Nieznana jest dokładna data tego rozdawnictwa [5]). Skoro Olizar Szyłowicz zapisał testamentem posiadłości swoje ziemskie żonie z prawem rozporządzania się niemi dowolnie, widocznie nie miał męskich potomków, a w ogóle dzieci. Z tego wnioskowaćby można, że na Olizarze Szyłowiczu zakończył się ród jego.

Jakkolwiek nazwisko to spotyka się w krótkim okresie historycznym Wołynia, jednak wypełnia sobą dużo miejsca. Przez 50 lat prawie nazwisko jego powtarza się często. Pełnił on służbę publiczną, był starostą włodzimierskim i łuckim, marszałkiem ziemi wołyńskiej, a cieszył się łaską Kazimierza Jagiellończyka, który go hojnie obdarzał. Znamy jego tytuły, ale brak materyału do poznania jego czynów. Wdowa po nim, Fedk'a, wspominając nadanie królewskie mężowi, nie wymieniła wszakże Poworska, „sioła na Wołyniu“, które niegdyś dzierżył — jak powiada przywilej Zygmunta I. z roku 1508, — wydany księciu Konstantemu Ostrog-

[1]) Archiw Jugo-Zapad. Rossii, cz. VII., t. I., str. 36-37.

[2]) Archiwum ks. Sanguszków. T. I., str. 140.

[3]) Ibidem, str. 287.

[4]) Ibidem, str. 141.

[5]) Wydawca cz. VII., t. II., Archiw Jugo-Zapad. Rossii powiada, że między r. 1482—1492. Skoro w r. 1485 (około) Olizar Szyłowicz umarł, a Choteń żona jego nazywa „ojcowizną“, chyba w posiadaniu Szyłowiczów był wcześniej. Zdaje się jednak, że był to Choceń wołyński, nie kijowski.

skiemu „na Poworsko ze wszystkimi jego przysiółki“, z tem wszystkiem również, „co zdawna do tego sioła przysłużało“ [1]).

Znajdujemy wprawdzie Szyłów, ale na tak odmiennem stanowisku społecznem, że o pokrewieństwie mowy być nie może: śród mieszczan Czornobylskich zapisany jest (w r. 1552) jakiś Mirko Szyło [2]), a w sto lat później przyłapano na rabunku kozaka pułku niżyńskiego (1654 r.), Ławryna Szylę z Hadiacza. Dowodziłoby to chyba, że Szyło było imioniskiem, dość rozpowszechnionem na Rusi [3]).

W gałęzi przeto Olizarów-Szyłowiczów nie znajdujemy w dokumentach nam znanych dokładniejszych śladów i wzmianek, wskazujących na pokrewieństwo z Olizarami-Wołczkiewiczami — oprócz wspólnego niegdyś posiadania Chotenia — może.

Najprawdopodobniejsza będzie hipoteza o pochodzeniu linii Olizarów-Wołczkiewiczów, zapisana przez Niesieckiego za innymi. Pochodzi ona od wspólnego pnia Woronów. Ale i tu bez plątania się nie obeszło. Niesiecki za Paprockim powtarza, że Aleksander Woronowicz, syn Hrehora, miał 7-miu synów; jeden z nich Matwij, przezwiskiem Kmita, miał synów Krzysztofa i Siemiona [4]), a Siemion Filona, który utrzymał nazwisko czy przezwisko rodowe Kmitów [5]). Ale tą gałęzią zajmować się nie będziemy. Niesiecki zaś pisze, że Matwij miał syna Kiryana, albo Kmitę, który „był autorem familii“ Kmitów-Czornobylskich [6]) Nawiasem dodam, że Filon Kmita-Czornobylski zeszedł bezpotomnie.

Możnaby było o Filonie Kmicie przy Olizarach nie wspominać, gdyby nazwisko jego nie było związane pokrewieństwem z Olizarami. Posiadamy tylko jeden dokument, który rzuca światło na to pokrewieństwo: jest to sprzedaż Korystyszowa nad Teterowem Iwanowi Olizarowiczowi. Zanim jednak do tego przyjdziemy, rzućmy okiem wstecz — zkąd się wzięło rzeczywiście nazwisko Olizarów? „Czwarty syn Hrehorego Worony, Iwa-

---

[1]) Malinowski i Przeździecki: Źrzódła do dziejów polskich, t. II., str. 387, 388.

[2]) Archiw J. Z. R., cz. VII., t. I., str. 591.

[3]) Pamiat., t. III. Konfiskata kozaków etc., str. 207.

[4]) Herbarz, t. IV., str. 477; Paprocki, str. 852.

[5]) Malinowski i Przeździecki: Źrzódła do dziejów polsk. Wiadomość o życiu Filona Kmity. T. II., str. 306.

[6]) Niesiecki: Herbarz, t. IV., str. 477.

szkowicza[1]) — powtórzmy za Niesieckim. — Eleazar (Łazar), albo zwyczajnym na Rusi językiem Olizar, na jedno oko ślepy, atoli wielki wojownik, gdzie żadnej o sobie nie dając wieści. Tatarów napadał i szczęśliwie raził, a zwano go bądź Ślepy bądź Głuchy Wołczek: od niego początek swój wziął ród Olizarów Wołczkiewiczów[2]).

Zdaje się, że nie sięgając do Serbii, możemy na własnej ziemi znaleźć rodowód Olizarów. Nie mają oni w domu swoim mitry książęcej, bardzo wątpliwego serbskiego księstwa, ale wyrośli na ziemi wołyńskiej, przez kilka wieków dzielili z nią chwałę i niedolę, broniąc ją mieczem od napaści wrogów lub służąc na stanowiskach publicznych. Bezpośredniego dowodu pochodzenia Olizarów od Olizara Wołczka nie mamy, ale dalsze filiacye dają nam niezbite świadectwa wspólności rodowej. Możnaby przypuścić, że wspomniany już przez nas Fedko Olizarowicz, starosta łucki i marszałek wołyński był spokrewniony z Olizarami Wołczkiewiczami, chociaż nosił nazwisko Szyłowicz, ale bliższa filiacya nie da się związać. Musimy przeto nawrócić do Siemiona, jako najbliższego protoplasty późniejszych Olizarów. Czy on był rzeczywiście synem Eleazara — Worony — Wołczka? Pewności opartej na dokumentach, nie mamy. Ale na podstawie innych dokumentów możemy ustalić prawdopodobne pokrewieństwo z Filonem Kmitą. Semen Olizarowicz wydał córkę swą Tetjanę za Konstantyna ks. Ostrogskiego, który z niej miał dwie córki: Nastazję i Tetjanę, a syna Iwana. Nastazja była 1-o voto za Januszem Sanguszkowiczem, a 2-o za Iwanem Putiatyczem[3]).

Ks. Janusz Michajłowicz Sanguszkowicz wraz z żoną swoją, księżną Nastazją, córką Semena Olizarowicza, zeznaje, że Semen Olizarowicz od Jurja Wasylewicza Zasławskiego „ojczyznę“ jego Bytaszów za 30 kóp gr. nabył i testamentem zapisał monasterowi udermańskiemu, z tym warunkiem, że gdyby kto z rodziny księcia Jerzego chciał za nie zwrócić zapłaconych 30 kóp groszy, Bytaszów ma wrócić do rodziny[4]).

---

[1]) Czytaj rodowód Woroniczów tegoż autora.

[2]) Niesiecki: Herbarz, t. IV., str. 477.

[3]) Konstanty Ostrogski zapisuje żonie swojej d. 8 kwietnia 1514 r. dożywocie na Turowie (Malinowski i Przeździecki: Źródła do dziejów polskich, t. II., str. 425).

[4]) Książę Janusz Sanguszko potwierdza nadanie monasterowi dermańskiemu r. 1512 (Malinowski i Przeździecki, l. c., str. 423). Niesiecki pisze: „wieś Bielaszów (t. VII., str. 85).

Najprostsza linia Olizarów-Wołczkiewiczów zdaje się być ta, która pochodzi od Eleazara, względnie od syna jego, Siemiona, i mającego, o ile wiadomo, także jednego syna, Iwana — Jana.

Jeżeli Olizar-Eleazar Wołczkiewicz-Wołczkowicz był synem Hryćka Worony, co się zaprzeczyć prawie nie da, to w takim razie Olizarowie-Wołczkiewicze w połowie XVI. wieku byli blizko spokrewnieni z Woroniczami, odrzucili tylko z czasem patronimicum, a przybrali nazwisko Olizarów, może nawet nie bez wpływu legendy o księstwie serbskiem. Aż do końca prawie XVI. wieku używali imienia Olizar, jako nazwiska, z przydatkiem patronimicznego zakończenia przezwiska Eleazara Wołczka. Ztąd też jako Olizarowie-Wołczkiewicze lub Wołczkowicze figurują w opisach zamków wołyńskich. I tak: Olizar Wołczkiewicz w r. 1545 posiada przy zamku owruckim w spisie „włości książęcych, pańskich i ziemiańskich" wieś Hłuszkowce[1]. W tymże samym czasie przy zamku żytomierskim posiada „imienia" Toporyszcza, Wołyńcy i Wołosów[2], a w zamku posiada własną horodnię i obowiązany oprawiać ją[3].

Przy opisie zamku żytomierskiego w r. 1552 wyliczone są wsie, należące już do „paniej Olizarowej Wołczkowiczowej i syna jej, Iwana", mianowicie: Toporyszcze, Szersznewicze, Horodiszczsko (Horodyszcze, Horodek?) Sołdiry, Starowicze, Tatarowicze, Hłyszkiewiczy, sielisze Wołyńcy — puste[4]. Jakkolwiek imienia chrzestnego Olizarowej niema, a tylko zwyczajem przyjętym autor opisu posługuje się imieniem męża, zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że jest to rodowe nazwisko po Eleazarze Wołczku Hryćkiewiczu Woronie[5]. W dwóch równoległych liniach rodowych Worony, ze strony syna Iwaszka Worony, Hryćka, a syna Hryćka Matwieja-Kmity, znamy imię synów Matwija, Siemiona i Jana, a ze strony drugiego syna Hryćka Worony, Eleazara, brata Matwiia, jest także syn Jan, — obaj Janowie występują prawie równocześnie. Imię Jana, syna Matwija Kmity, zaciera się, natomiast imię Jana Siemionowicza Olizarowicza-Wołczkiewicza zaznacza się dwukrotnie i daje możność utworzenia nowej szlache-

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rossii, cz. IV., t. I., str. 48.

[2]) Ibidem, cz. VII., t. I., str. 126.

[3]) Ibidem, str. 128.

[4]) Ibidem. Opis zamku żytomierskiego, str. 150.

[5]) Patrz rodowód Woronów-Woroniczów tegoż autora.

ckiej rodziny Olizarów-Wołczkiewiczów najprzód, a następnie zatrzymującej już z czasem tylko nazwisko Olizarów. Że Iwan Siemionowicz Olizar był bratem Kmity, znajdujemy potwierdzenie w akcie sprzedaży Korostyszowa przez Filona Kmitę, w którym ten ostatni powiada, że „sprzedaje bratu swemu panu Iwanowi Olizarowi Wołczkiewiczowi za sumę 400 kóp groszy" „imienie Korostyszew samo w sobie w ziemiach, gruntach, polach, lasach, rzekach i granicach" [1]. Imienie to nazywa Kmita „ojczyste i dziedziczne", chociaż Niesiecki powiada, że było tylko wysługą Kmity [2]. Nie jest to prawdopodobne, bo w takim razie sprzedaż bez pozwolenia króla byłaby nieważną. W cytowanym przez nas dokumencie Kmita kilkakrotnie zaznacza, że sprzedaje tę majętność „bratu swemu". Przeździecki mniema, że to był „krewny" tylko. Mogłoby to być ze względu na takie same imię brata stryjecznego, ale gdyby tak było, nie potrzebowałby Kmita z naciskiem kilkakrotnie powtarzać, że sprzedaje „bratu swemu"; gdyby zaś to braterstwo było tylko stryjecznem, niewątpliwie dokument określiłby stopień pokrewieństwa inaczej i bliżej. Między braćmi rodzonymi, w obec poważnych świadków, podpisanych na dokumencie było to zbyteczne. Iwan Olizarowicz, poseł z Kijowskiego, podpisał w r. 1569 unię Litwy z Koroną, ale czy to był ten sam, właściciel Korostyszowa? Rzecz bardzo prawdopodobna, ale nie pewna. W ogóle rozplątanie węzła pokrewieństwa rodzinnego między Olizarowiczami i Olizarami-Wołczkiewiczami jest nader trudne, nawet w obec braku dokumentów na razie niemożliwe — osobliwie z powodu tożsamości imion przy patronimicznem nazwisku Olizarów. W połowie XVI. w. na tę trudność natrafia się przy imieniu Iwanów. Z Iwanem Olizarowiczem spotykamy się często. Występuje on najprzód jako służebnik i diak (pisarz) księcia Romana Sanguszki. W r. 1558 spotkała go wcale nieprzyjemna przygoda: wysłany przez księcia w jakimś poufnym interesie, na znak czego miał sygnet z herbem Sanguszków, napadnięty został przez ludzi księżnej Beaty Ostrogskiej w drodze; odebrano mu sygnet

[1] Aleks. Przeździecki: Podole, Wołyń, Ukraina. Wilno 1841. T. II., str. 114. Oryginał tego aktu podany w transkrypcyi łacińskiej.

[2] Niesiecki: Herbarz, t. IV., str. 477. Możliwe to byłoby tylko wówczas, gdyby Matwij w owym czasie już rzeczywiście nosił przydomek Kmita, — co nie jest rzeczą nieprawdopodobną.

i 5 złotych, które Zygmunt August nakazał zwrócić [1]). W listach mianowany jest „diakiem“ [2]). Trzymał się on stale domu Sanguszków i był zaufanym ks. Romana. W r. 1567 uczestniczył w walce z Moskwą wraz ze swoim patronem. W utarczce tej był rotmistrzem kozaków i obdarowany został wraz z innymi, którzy w tej wojnie udział brali, przez króla [3]).

W tym samym roku występuje jako „służebnik“ ks. Romana w korespondencyi jego z teściem, Hrehorym Chodkiewiczem, ale już bądź jako „pan Olizar“, bądź wprost jako „służebnik Olizar“, bez żadnych patronimicznych dodatków [4]). Zdaje się, że od tego czasu poczęło się już ustalać w pisowni nazwisko Olizarów.

Ktoby to wszakże był ów Iwan Olizar, służebnik, diak i rotmistrz kozacki? Czy to był brat Kmity rodzony lub stryjeczny? Na to odpowiedzieć stanowczo niepodobna. To jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że z linii Eleazara Worony-Wołczka musiała pochodzić ta gałąź, która jako jedyna odrębna, pozostała w Polsce i zatrzymała imię jako rodowe nazwisko Olizarów.

W rodowodzie Olizarów jest jeszcze jedna zagadka, która, na podstawie znanych nam dokumentów, rozwiązać się nie da. Rulikowski [5]) utrzymuje, że jakiś Roman Olizar-Wołczkiewicz był wojewodą kijowskim w r. 1458 [6]), a w dopiskach powołuje się na testament jego z 18 marca 1548 r. [7]). Jeśli to nie jest omyłka korektorska, to przypuściwszy, że miał 30 lat, kiedy został namiestnikiem w Kijowie, musiałby umrzeć, mając lat najmniej 120 — co jest rzeczą mało prawdopodobną. Dodać należy, że w tym czasie inne dokumenty nie wspominają wcale nazwiska Romana Olizara-Wołczkiewicza.

Jakkolwiek nazwisko Olizarów, już jako hrabiów, ustaliło się dopiero w XVIII. w., spotykamy jednak nazwiska te w tytułach

---

[1]) Archiwum ks. Sanguszków, t. VII., str. 25, 29.

[2]) Ibidem, str. 29, 38.

[3]) Ibidem, str. 175.

[4]) Ibidem, str. 191, 195, 29

[5]) Uwaga co do wojewody Jurszy.

[6]) Powiat kijowski. Kijów 1913, str. 179.

[7]) Kossakowski — Monogr., t. II., str. 283 — nazywa go Regulus, a Kalnofojski, zapewne w Teralurgimie, nazywa go wojewodą.

urzędników, bądź jako Olizar[1]) (Adam). gdy w spisie stolników imię Olizar figuruje w roku 1720—1729 jako Józef na Szeplu Olizar-Wołczkiewicz[2]). Uwagi te odnoszą się wyłącznie do pisowni nazwiska.

III. Połozy-Połozowicze.

Połozy przesunęli się tylko przez dzieje Polski, nie pozostawiwszy po sobie wybitnego potomstwa. Czy wymarli, czy też zmienili nazwisko — trudno coś o tem powiedzieć. W każdym razie zeszli z widowni dziejowej tak, jak ks. Bohowiccy, Różyńscy, Sołomereccy, jak Żaszkowscy, Pohrebyscy, Żywotowscy i wiele innych rodzin. które w pierwszej dobie polsko-litewskich stosunków niepoślednie zajmowały stanowisko w sprawie kolonizacyi pustyń tej części Rzptej polskiej. którą później, ze względu na jej położenie geograficzne, w stosunku do państwa polskiego, nazywano Ukrainą.

Ciekawą jest nazwa sama Połozów-Połozowiczów, która przypomina nazwą jednego z największych wężów. jakie niegdyś spotykano w Dzikich polach. W jaki sposób ta właśnie tożsamość nazwiska wiąże się z rodziną Połozów-Połozowiczów, nie próbujemy odgadywać, chcemy tylko z tego powodu o Połozach ukraińskich słówko powiedzieć.

Połozy, jako gatunek węży, nie istnieją dzisiaj, co jest rzeczą bardzo prawdopodobną, bo zanikanie niektórych rodzajów zwierząt i płazow zapewne jest zwykłą ewolucyą życia. Niespotykanie tego gatunku wężów w obecnym czasie, daje powód do przypuszczenia niektórym naturalistom, że Połoz jest tak mitycznym wężem, jak różne feniksy, gryfy, harpie lub sfinksy. Nie to nas wszakże interesuje, lecz współbrzmienność nazwiska Połozów-Połozowiczów.

Bielski, z relacyi Taranowskiego. wysłanego do Krymu (1568). opowiadając o nadzwyczajnej mnogości gadów. znajdujących się na Poniziu czarnomorskiem, pisze, że „wiele gadzin okrutnych widali tak miąższych jako noga człowieka i bardzo długich. Tamże na niektórych miejscach się trafiało przy jakim błocie. że bywało widać moc wielką skór wężowych. co się wyleniali, że się trawa

---

[1]) Rulikowski: Powiat kijowski, str. 186. — Adam Olizar był podkomorzym kijowskim w r. 1710.

[2]) Ibidem. str. 190.

od nich bielała, jakoby ją płótnem przykrył i wężów okrutnych każdy dzień bili Tatarowie w wojsku bardzo wiele" [1]).

W sto lat prawie potem, Bogusław Maszkiewicz, dworzanin księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, wracając z Siczy w r. 1647 do Łubnów, daje nam bardziej szczegółową wiadomość o tym wężu, zwąc go już wyraźnie Połozem. „Musieliśmy nad Dnieprem koczować — pisze, — a to dla trawy, która na mokrych miejscach nie pogorzała. Między różnem robactwem, jako to: wężami, gadzinami, padalcami, natrafiliśmy Połoza tak grubego, jako ręka człowieka między łokciem a dłonią, a tak długiego, jako kopia niemal. O tym powiadają, że gdy posłyszy jednego człowieka, na koniu jadącego, by najrączejszym, dogoniwszy go, okręca się koło konia i człowieka i zaraz mu gardło jak szydłem przepchnie, bo język jest z obu stron szydłowaty. Oczu nie ma, a gęba bardzo mała. Tego nadszedłszy chorągiew wołoska pana Aleksandra Zamojskiego, strażnika, rozsiekała go w sztuki, a gdyśmy nadeszli potem, tedy każda sztuka, osobno odcięta, tak drgała, jakoby sam w sobie żywy robak" [2]).

Przytoczenie nazwy tego węża byłoby wskazówką, że znaną ona była dobrze ludziom miejscowym.

W 70 lat po tym wypadku nietylko nie pomija tej nazwy Gabryel Rzączyński, ale Połoza nawet opisuje, powiadając, że ma bardzo twardą łuskę, posiada 8 do 10 łokci długości i gnieździ się w Dzikich polach na Niżu ukraińskim [3]).

Nie zadowalając się tem, opisuje bardzo szczegółowo walkę dwóch kozaków, powracających z niewoli tatarskiej, z Połozem, napotkanym w stepie [4]).

---

[1]) Bielski. Kronika (1856), t. II., str. 1189.

[2]) Niemcewicz: Zbiór pamiętników o dawnej Polsce, t. V. Dyaryusz Bogusława Maszkiewicza, str. 63.

[3]) Historia naturalis curiosa Regni Poloniae. Dalszy tytuł opuszczamy. Sandomirae 1721. „Serpens grandis, nobis Połoz, squama durissima rectus, ad octo vel decem ulnas protensus, in campis desertis Ucrainae", str. 249. IV.

[4]) Ibidem, str. 249. Jakkolwiek, o ile przypuszczać wolno, był to już okres zanikania tego gatunku, tu i ówdzie, przed pięćdziesięciu laty jeszcze, można było spotkać węża takiej wielkości, jak opisują Maszkiewicz i Rzączyński. Piszącemu te słowa zdarzyło się widzieć w czasie ekskursyj szkolnych, nad Dnieprem, węża już zabitego, ale ze śladami świeżymi, z opisu bardzo podobnego do widzianych przez Maszkiewicza, a opisywanych także przez Rzączyńskiego, co do wiel-

Przydługi nieco ten wstęp o Położie ukraińskim zdaje mi się być niepozbawiony, co do nazwiska, analogii pewnej z nazwiskiem rodowem Połozów-Połozowiczów, które ku końcowi XV. wieku nie było obce w historyi litewsko-polskich krajów.

Gniazdem rodowem Połozów zdaje się są Połozowicze, wieś pod Głuskiem w Mińszczyźnie. Była to rodzina bojarska — jak słusznie utrzymuje E. Rulikowski, jakkolwiek nie przytacza na to dowodów. Wnosić to, do pewnego stopnia, z tego możemy, że jeszcze w połowie XVI. w., kiedy Połozy zdobyli już wybitne stanowisko w państwie, przy zamku Czornobylskim, śród mieszczan znajdujemy Mykitę Połozowa [1]).

Przesuwanie się wówczas ludzi, obdarzonych rycerskim temperamentem, na służbę różnych książątek z Rusi na Litwę i do Moskwy, jakoteż odwrotnie, było rzeczą bardzo zwyczajną. „Biegali“ — jak się obrazowo wyrażają dokumety — do Moskwy Olelkowicze, Glińscy, Daszkowicze i posmakowawszy tam służby, wracali; z Moskwy uciekali Kurbscy i inni. Czornobyl zaliczał się do ziemi kijowskiej; byli też w Kijowczyźnie rozrodzeni Połozy.

Ale założycielem domu Połozów był Połoz Mścisławiec, sługa księcia Mścisławskiego, ktorzy ród swój wiedli od Lingwena, syna Olgerdowego [2]). Może to był jeden z ukraińskich Połozów, szukających tam szczęścia, którego potomek wrócił do prawowitych panów, gdy inni założyli Połozowicze w sąsiedztwie i osiedli w nich. Z braku dokumentów zagadki tworzenia się i rozgałęzienia się nazwisk rodowych rzadko dadzą się rozwiązać.

Otóż ów Połoz Mścisławiec miał jednego syna, Teodora, zwanego także Wołodkiem, a Teodor = Fedor — trzech: Seńka, Iwaszka i Szczasnego (Szczęsnego). Seńko posiadał prawem lennem dobra Kozminicz i Felkowszczyznę: Seńko zrzucił się z wasalstwa nie bez sporu z księciem Mścisławskim Michałem o posiadanie tych dóbr [3]).

Spór oparł się o króla Aleksandra, który rozstrzygnął go na korzyść księcia. Musiało się to stać przed rokiem 1494, gdyż

kosci i charakteru. Uderzyła mię ta wielkość, nie widziana nigdy ani przedtem, ani potem. Czy to nie był może jeden z nielicznych już okazów Połoza?

[1]) Archiw Jugo-Zap. Rossii, cz. VII., t. I., str. 591.

[2]) E. Rulikowski: Opis powiatu kijowskiego. Kijów—Warszawa 1913, str. 111.

[3]) Ibidem.

w tym roku piastował już urząd klucznika kijowskiego. Rulikowski powiada, że w r. 1495 dopiero przybył na dwór hospodarski[1]. Oczywiście, musiało się to stać wcześniej, gdyż w r. 1494 był już urzędnikiem królewskim.

Tak więc historycznym protoplastą rodu Połozowiczów zdaje się być Fedor Połoz, którego syn Semen w r. 1494 był klucznikiem kijowskim. Przed tym rokiem, oprócz wzmianki u Rulikowskiego, w znanych nam dokumentach żadnego Połoza nie znajdujemy. W roku powyższym d. 29 października król Aleksander nadaje Semenowi Połozowiczowi majętność Chabna we włości Zawszańskiej (Zawskoj wołosti) na wieczność jemu, żonie jego, dzieciom i sukcesorom, nietylko z temi prawami, jakie zwykle w nadaniach opisywano, ale z wyłączną danią miodową[2]).

Ten sam Semen między rokiem 1485 a 1500 — jak mniema wydawca Archiwum ks. Sanguszków — na akcie zapisowym ks. Fedora Wasylewicza Zbaraskiego, mocą którego żonie swojej ks. Maryi Semenowej Rowieńskiej zapisuje majętności swe, Studenkę i Stawek w 200 kopach groszy, podpisał się Semen Połozowicz, jako świadek, z tytułem „dworzanin królewski“[3]). Musiał być dworzaninem już przed rokiem 1494, gdyż w tym czasie był już klucznikiem kijowskim i byłby się niewątpliwie podpisał tytułem. Widać wszakże z tego, że z zapisodawcą w przyjaznych stosunkach zostawał.

Około roku 1500, w pierwszych dwóch leciech pierwszego dziesiątka, widzimy go na stanowisku namiestnika czerkaskiego. Uganiał się on na kresach za kozakami rabownikami, którzy karawany tureckie i inne zapewne łupili, odbierając od nich zrabowane rzeczy dla zwrotu pokrzywdzonym. Otóż gdy kozacy jakiejś swawolnej roty szczurowej okradli kupców, Seńko odebrał od nich zrabowane rzeczy, i spis z polecenia króla sporządził[4]).

---

[1]) E. Rulikowski. Opis powiatu kijowskiego, str. 121. W r. 1495 już się podpisuje na cytowanym przez nas dokumencie jako „dworzanin“.

[2]) Archiw Jugo-Zapad. Rossii, cz. VIII., t. IV., str. 114. Jeśliśmy dobrze wyrozumieli treść dokumentu, to wyrazy „s daczkoju hroszwoju i medowoju i s nedelskimi wedry“ — oznaczać mogą prawo wyłącznego korzystania z lasów, w których hodowano pszczoły.

[3]) Archiwum ks. Sanguszków, t. I., str. 121. „Korolew dworianin Seńko Połozowicz.“

[4]) Z tego spisu dowiadujemy się, że skradziono: „sześć szub belinnych bruszczatych, a semyj torłop bruszatyj że belinnyj, a piateri

Zdaje się, że już ojciec Semena, Fedor, posiadał po księciu Iwanie Lwowiczu Glińskim w powiecie żytomierskim Hostomel, w owruckim Stawki, a w kijowskim Hładkowicze, gdyż król Zygmunt I. w r. 1514 potwierdził posiadanie tych majętności Semenowi Fedorowiczowi Połozowiczowi, zaznaczając wyraźnie te dobra jako dziedziczne [1]). Nawiasem, dodać należy, że w tym czasie, w cytowanem przez nas nadaniu, Semen Fedorowicz Połozowicz już był tytułowany jako „namiestnik owrucki" [2]). Semen Połozowicz w owym czasie już musiał być człowiekiem starym, gdyż dowiadujemy się z dokumentu nadawczego, że trzem królom wiernie i uczciwie — jak zaznacza dokument — służył, mianowicie: Kazimierzowi, Aleksandrowi i Zygmuntowi I. Król Zygmunt, nagradzając jego służby, do posiadanych majętności dodał jeszcze „dwie ziemie puste na Prypeti, we włości białogrodzkiej w pow. kijowskim, jedną imienie Pilipowszczyznę, a drugą Kuzniewszczyznę" [3]). Na starostwie owruckiem Semen Połozowicz prawdopodobnie zakończył swoją karyerę (1517), gdyż więcej nazwiska jego w znanych nam dokumentach nie znajdujemy. Na akcie zamiany dwóch niw spornych między monasterami kijowskimi na Peczersku, mianowicie Pustyńskim pod wezwaniem św. Mikołaja i Peczerskim, podpisał się w r. 1517 jako starosta owrucki [4]).

Semen Fedorowicz, uświetniwszy swoje rodowe nazwisko, zgasł jak meteor, potomstwa męskiego po sobie, o ile ze znanych aktów wnosić można, nie pozostawiwszy. Miał on tylko córkę, Fenkę, o której kilka słów powiemy. Wyszła ona za mąż za kniazia Seńskiego i miała z nim dzieci. Mąż prawdopodobnie odumarł wcześnie, bo Feńka wyszła za mąż powtórnie za kniazia Dymitra Lubeckiego [5]), z którym także miała dzieci. Z pierwszego małżeństwa z księciem Iwanem Hrehorowiczem Seńskim była córka

---

łysy, nożczatyje blany, a szest łokot sukna ćwikolskoho": u drugiego kozaka, który umarł — może z ran — odebrano jeszcze bogatszą zdobycz, której tu nie wyliczamy. (Archiw Jugo-Zap. Rossii, część III. t. I., str. 1).

[1]) Archiw Jugo-Zapad. Rossii, cz. VIII., t. I., str. 321: „pożałowali jeśmo jeho dedinu — imienje, kotoroje derżał adradca nasz kniaź Iwan Lwowicz Glinskij".

[2]) Ibidem, str. 321.

[3]) Ibidem.

[4]) Ibidem, cz. VIII., t. IV., str. 164.

[5]) Rulikowski twierdzi, bez powołania się na dokumenty, że był to trzeci mąż Feńki. Pierwszym miał być jakiś „kniaź Jakim" (Powiat kijowski, str. 113).

Bohdana. O innych dzieciach dokument nasz wspomina tylko o bracie Bohdany — Hrehorym.

Fenka Semionówna Lubecka była prawdopodobnie jedyną spadkobierczynią po ojcu i pierwszym mężu, a majętności swoje jeszcze za życia zapisała dzieciom z drugiego małżeństwa — Lubeckim. Córka jej, Bohdana, wyszła za mąż za Wasyla Korsaka, z którego córką, Petruchną, ożenił się Dymitr Sapieha w roku 1561. W tymże roku wytoczył on proces o niesłusznie posiadany majątek rodowy ks. Seńskich kniaziowi Pawłowi Jurjewiczowi Sokolińskiemu — nie wiemy, z jakiego powodu, — przeciw babce Feńce Siemionównie i synowi jej, Bohuszowi Dymitrowiczowi Lubeckiemu [1]).

Nie będziemy wchodzić w dalsze szczegóły tego sporu. Stwierdzić tylko należy, że majątek ziemski Semena Połozowicza przez linię żeńską przeszedł w posiadanie ks. Sokolińskich i Lubeckich, a częściowo i Sapiehów. Fortuna Połozowiczów wraz ze śmiercią najwybitniejszego jej przedstawiciela rozpadła się. Na początku XVII. wieku (1600 r.) Hostomel, Stawki i Hładkowicze znalazły się w posiadaniu Szczęsnego Charlińskiego, podkomorzego kijowskiego, który za życia swego zapisał je synom swoim, Stanisławowi, Mikołajowi i Grzegorzowi, z obowiązkiem wypłacenia siostrze 3000 złp. donacyi [2]). Przez cały czas prawie posiadania Hostomla przez rodzinę Charlińskich, majętność była w ciągłym niepokoju i procesach: o zbiegłe poddane, o wreby do cudzych lasów, o zabranie cudzych koni, z archimandrytą peczerskim o granice, z żydami o niedotrzymanie umowy dzierżawnej, o niedopuszczenie egzekucyi sądowej, a w końcu i banicya spotyka jednego z Charlińskich. Mimochodem tylko wspomnieliśmy o tem [3]).

I tak cała fortuna Seńka Połozowicza wsiąknęła w obce rody, szczęśliwsze od starych Połozów; o dalszych losach tej nowej gałęzi mówić nie będziemy.

Drugi brat Seńka, Iwan Połozowicz, podpisujący się haeres in Dula, poszedł śladem Seńka. Od książąt Mścisławskich przeszedł na służbę króla polskiego, a w roku 1534 już otrzymał

---

[1]) Sapiehowie, t. I., 1890, str. 167.

[2]) Aleks. Jabłonowski: Polska XVI. wieku, t. XXI., str. 62.

[3]) Ibidem, str. 87, 94, 171, 203, 224, 245, 267.

przywilej na dwuletnią dzierżawę zamku czornobylskiego [1]). Posiadał on dobra, a oprócz tego Terebeń (Teremce?). Krzywcze. Ładyżyn (na Wołyniu) i inne. W r. 1522 zapisał monasterowi Pustynnemu Nikolskiemu w Kijowie „ziemię Kuczuków“ [2]).

Maks, syn Lwa (Mścisława) Szczęsny, (chyba stryj Semena), otrzymał od króla Aleksandra wieś Zachowicze w pow. mozyrskim. a w r. 1522 zapisał także Nikolskiemu monasterowi „jednego człowieka z ziemią Obernińską“ [3]). Rulikowski linię obu braci Seńka. Iwana i Szczasnego, nazywa mozyrską, gdyż — jak utrzymuje — w tym powiecie „gnieździła się i rozrodziła się na wiele gałązek. W roku 1541 Lew Połoz, syn Iwana. posiadał Teremce i Ładyżyn koło Czornobyla i był dworzaninem królowej Bony. Około tego czasu był także jakiś Rak Połozowicz [4]). Z jakąś Orliną Połozówną ożenił się Bohdan Kmita, a Andrzej Połoz w r. 1546 darował monasterowi Meżyhorskiemu ewangelię, powołując każdego, ktoby ją zabrał „na sąd na tamtym świecie“.

Widzimy wprawdzie, że mozyrska linia Połozów należała do bardzo gorliwych wyznawców wschodniego obrządku. ale ze znanych dokumentów nie można się dowiedzieć. jaką służbę publiczną pełnili.

O dalszych losach tego rodu nie znaleźliśmy żadnych pewnych wiadomości.

---

[1]) Rulikowski: Powiat kijowski, str. 116. Zdaje się. że autor powołuje się na przypisek 12. Odsyłacze w tem dziele są często bez sprawdzenia i błędnie cytowane.

[2]) Ibidem, str. 114.

[3]) Ibidem. str. 114. Gdzieby się wszakże ta ziemia znajdowała. doszukać się nie mogłem.

[4]) Z powodu błędnej korekty niepodobna domyślić się, zkąd tę wiadomość zaczerpnął Rulikowski.

Fr. Rawita-Gawroński.

Pierwiastek autobiograficzny w poezyi polskiej XVI. w.

(Ciąg dalszy.)

I znowu odrębne oblicze ukaże nam autor trzeciej autobiografii, którą zajmiemy się z kolei: Marcin Bielski.

Autobiografia ta, zresztą tylko ubocznie wcielona w przedmowę do „Komedyi Justina y Konstancíey“ z r. 1557, na tem baczniejszą jednakowoż zasługuje uwagę, że jest to „pierwszy — jak zaznacza prof. Ig. Chrzanowski — silniejszy wyraz indywidualizmu w poezyi polskiej XVI. wieku“ [1]) — naturalnie pierwszy w języku polskim. Od obu poprzednich autobiografij różni się wybitnie i formą i treścią. Brak tu ciągłości w uszeregowaniu szczegółów rzeczowych, bo też i forma dyalogu: „Mistrz ku swoim książkom mówi“ — mało takowej ciągłości sprzyja. A przytem i cele główne przedmowy nie wiele mają wspólnego z wątkiem życiorysowym. Idzie Bielskiemu o poczytność, zazdrości Rejowi sławy poetyckiej, do współzawodnictwa z nim się pnie i chciałby jak najszersze koła czytających urzec, wmówić w nich, by jak najrychlej zaczytali wydania jego ksiąg. Idzie Bielskiemu bardzo o poczytność, ale i o coś więcej także, skoro swe książki uczy takiej oto mowy:

---

[1]) Chrzanowski: „Marcin Bielski“. Warszawa 1905, str. 197.

„Powiedzcie mu: Królu miły.
Aby cię książki nawiedziły.
Posłał nas mistrz sobie k'woli.
Bo mu niedostało soli.
Niedostało wiele rzeczy...
. . . .
Raczcie go z łaski darować...“
(v. 127—31. 140).

Trudno już mówić wyraźniej i szczerzej. W obec takich celów element autobiograficzny stoi na planie dalszym. ale jednakowoż jest — i jest niebylejaki.

Udała się bo ta przedmowa mistrzowi naszemu, udała. Nowością pomysłu ona nie jest. ale w garści niezgrabnych, ociężałych. niedołężnych rymów. które nam Bielski w puściźnie poetyckiej po sobie zostawił. stanowi prawdziwą perłę, jaśniejącą blaskami szlachetnego liryzmu [1]). gładkością formy i jędrnością stylu. Między mistrzem a książkami, jego dziećmi, które on w świat. między ludzi wysyła, zawiązuje się dyalog: książki boją się złych przygód. nie ufają ludziom, a nawet — skromne! — wstydza się swych „tanich kramów“. Mistrz dodaje im odwagi, zacheca. a wreszcie wahania rozcina przemożnym względem:

„Musicie między ludzi iść.
Sroka, gdy głodna, szczebiece,
Wszytki strachy precz odmiece,
Ku domowi przyskakuje...
. . . .
Mnich też jeździ po terminie,
A wżdy nigdziej nie zaginie.
Wilk na miejscu nie utyje...“
(v. 52—5, 57—9).

Zaczem przepisuje im marszrutę, z której wynika, że całą Polskę przebiedz im wypadnie. W tę treść główną wplata Bielski autobiograficzne szczegóły. — Dowiadujemy się tedy, że autor pochodzi z Wielkopolski [2]), że młodość spędził na Rusi. w ziemi prze-

[1]) Chrzanowski, op. c., str. 197.

[2]) „Potem do Polski pójdziecie,
Swoim się ofiarujecie,
Bo tam rodziny dosyć mam...“ (Ib., v. 217—9).
por. też w przedmowie do „Żywotów filozofów“:
„Marcin Wolski z Wielkiej Polski
Do czciciela rymuje...“

myskiej — jak ubocznie wiemy — na dworze Kmity [1]). Ale Kmita w r. 1553 umarł, a nic Bielskiemu nie zapisał, więc się żali, zawiedziony w swych nadziejach, biedny mistrz:

„Marnieśmy czasy strawili,
Niceśmy nie wysłużyli,
Panowie nam zeszli z świata,
Zawiódszy nas w dalsze lata.
W obce ręce skarby dali,
A nas na odpust posłali.“ (v. 7—12).

Poznajemy też koligacye Bielskiego: że spokrewniony z Prawdzicami [2]) — (sam przecież herbu Prawdzic), — po żonie (pannie Siemkowskiej urodzonej) powinowaty Okrzycom, więc Rejowi. Orzechowskiemu może. Z koła swoich znajomych jednego tylko wymienia: żupnika wielickiego, Seweryna Bonara [3]), u którego — jak z dumą wspomina:

„Mieli mnie tam w cześć u stołu...“ (v. 156).

Więcej szczegółów rzeczowych skąpi nam Bielski, ale zato otwiera szczerze przed nami serce i dzieli się bez osłonek tem, co go boli: spowiada się ze swoich kłopotów gospodarskich, które go od ukochanych ksiąg odrywają, ze swoich trosk codziennych, napełniających mu życie goryczą [4]). A nawet z całą dobroduszno-

---

[1]) „Pójdziecie potem do Rusi,

. . . .

Zwłaszcza do ziemie przemyskiej,

. . . .

Tamem się chował z młodych lat...“ (v. 161, 163, 165).

[2]) „Stąpcie też do Bełżanów

. . . .

Do moich stryjów Prawdziców,
Takież po żenie Okrzyców.
Są wielkiego zawołania:
Dzierżą się pisma, czytania...“ (v. 181; 183—6).

[3]) „Idźcież do wielickiej żupy,
Do pana żnego żupnika...“ (v. 142—3).

[4]) „Trzeba na żonę, na dzieci,
Przeto z mieszka grosz wyleci,
Zapłać dziewkom, zapłać chłopom...

. . . .

(Mistrz) Nie ma wołów, nie ma koni,
Jeden kłopot drugi goni...“ (v. 77—9, 177—8).

ścią jowialną nie tai przed nami szczegółów swego, nie zawsze zgodnego z magnifiką swą, pożycia. Warto posłuchać:

„A gdy zasię nie dostanie,
Będzie żonki narzekanie:
Aniś ty mistrz, ni bakałarz,
Ani kapłan, ni gospodarz.
Wszytko nad księgami leżysz,
Do roboty nie dobieżysz.
. . . .
Pójdź z widłami do obory,
Boć lepak księgi popalę.
. . . .
Czasem się z tego wyśmiewam,
Czasem się też i rozgniewam,
Czasem się też z nią udam w rzecz,
Czasem też od niej idę precz...“
(v. 82—8, 92—3, 101—104).

W tem użaleniu serdecznem, w którem ulgę znalazł mistrz niechybnie, boć i książki mu przytaknęły skwapliwie — brzmi nuta jowialnego humoru, którym sobie dodaje otuchy wśród rozbieżnych niepowodzeń życiowych, a który stanowi niewątpliwą cechę jego osobowości [1]).

Drugą zaś cechę tworzy pyszna zarozumiałość ze swoich literackich czynów. Bielski służył Rzeczypospolitej — jak umiał, — płużąc piórem (v. 133—4); a płużył tak wiek niemały, bo mu w chwili wydawania „Komedyi“ coś na 7-my krzyżyk zachodziło, a przecież:

„Jeszcze od swoich młodych lat
Pisał wszem polskie rzeczy rad.
On się na to pirwej obrał,
Drogę impresorom podał
Polskie pisma imprymować.“ (v. 135—9).

Zaznaczając tak dwukrotnie z naciskiem swe strarszeństwo w szeregu pisarzów polskich („pirwej obrał“, „drogę podał“), zdradził się Bielski ze swym najdotkliwszym cierniem w wieńcu literackiej sławy. On przecież, nie Rej, „drogę impresorom podał

---

[1]) Ten humor dowodzi niezbicie, że do umysłowości Bielskiego zakradło się coś z prądów Odrodzenia. Człowiek średniowieczny nie obracał w żart krzyżów, które nań Bóg za karę zsyłał; nie znał humoru, jako pewnego jednolitego nastroju życiowego.

polskie pisma imprymować". On wszak już na lat kilka przed Rejem był autorem książki polskiej — jednej, to już napewno, a może i niejednej pozatem [1]: — a jednak już współcześni srodze go krzywdzili, nie jemu, a Rejowi przyznając miano Nestora polskich pisarzów. I to bolesne poczucie krzywdy na tle współzawodnictwa literackiego szydłem właśnie z worka wychodzi i jest ono tem dotkliwsze, że swą literaturę Bielski nadewszystko stawiał, wszak milsze mu:

„Książki a papieru karta
Miasto wyżerka, a charta..." (v. 227—8).

w czem się może wytyk Rejowi kryje, który tak bardzo w wiejskich rozkoszkach smakował, a swe księgi spisywał raczej dorywczo.

Zazdrosny o całość swej pisarskiej sławy kronikarz-ziemianin, autor miernych zdolności, a chętny ciągnąć zyski ze swego pisarstwa, jowialny szlachcic chudopachołek, indywidualność powszednia, przeciętna i raczej pusząca się, niż istotnie rozwinięta, — oto jakim przedstawia się nam mistrz Marcin w swej autobiografii.

Tak Bielski. A K o c h a n o w s k i?

Jeśli wolno autobiografią nazwać prześliczny drobiazg pełen prawdziwego artyzmu — fraszkę 1. ks. III.: „Do gór i lasów". — a wolno, gdy poczynimy niejakie ustępstwa z przeciętnych wymagań na rzecz poety, — tedy i Kochanowski, mówimy, zostawił nam swą autobiografię.

Miasto streszczać, lepiej w całości przytoczyć:

„Wysokie góry i odziane lasy,
Jako rad na was patrzę, a swe czasy
Młodsze wspominam, które tu zostały,
Kiedy na statek człowiek mało dbały.
Gdziem potem nie był, czegom nie skosztował?
Jażem przez morze głębokie żeglował,
Jażem Francuzy, ja Niemce, ja Włochy,
Jażem nawiedził sybilline lochy.
Dziś żak spokojny, jutro przypasany
Do miecza rycerz: dziś między dworzany

[1] W roku 1539 wydał „Żywoty filozofów" z Burley'a, a są też podejrzenia, że może więcej dzieł jest pióra Bielskiego, — o czem patrz: Chrzanowski, op. c.

W pańskim pałacu, iutro zasię cichy
Ksiądz w kapitule: tylko, że nie z mnichy —
W szarej kapice, a z dwojakim płatem:
I to czemu nie? jeśliże Opatem.
Taki był Proteus, mieniąc się to w smoka,
To w deszcz, to w ogień, to w barwę obłoka.
Daley co będzie? srebrne w głowie nici,
A ia z tym trzymam, kto co w czas uchwyci. [1])

Tylko ostatni wiersz, to wybryk raczej swawolnej wesołości, niż szczere wyznanie. Nie, Kochanowski nie trzymał nigdy i nie zamierzał trzymać z tym, kto co w czas uchwyci, tylko, że się nazbyt poważnie zamyślił, a w czas przypomniawszy sobie, że przecież fraszkę pisze, zapragnął w żart wspomnienie obrócić, rozśmiać się i dobrych towarzyszów rośmieszyć.

Gdy w tę szczególną autobiografię wejrzeć zblizka, okaże się jej charakter jak najzupełniej wolny od wszelkich jakichkolwiek z góry powziętych celów. Poeta przeżył znaczny kęs życia (fraszka pisana jest po r. 1573, jak wskazuje wzmianka o sieciechowskiem opactwie), a gdy obejrzał się wstecz po za siebie na życie minione, uderzyła go zmienność i różność jego kolei. Więc zadumał się na chwilę głęboko, ale zadumał się dla siebie, dla nikogo więcej. Ztąd owa niejasna ogólnikowość autobiograficznych napomknień — wszak dla poety jedno wspomnienie wystarcza, aby przywołać na pamięć cały szmat życia; — całe epoki w jednem zamyka słowie; ztąd płynie też ów bezład rzucanych aluzyj, a raczej, owszem,

[1]) Tłumacząc aluzye wyraźniej, poeta mówi kolejno o swej przeprawie morzem z Włoch do Francyi, o pobycie w Paryżu (między rokiem 1556—1557), przejeździe przez Niemcy z powrotem do kraju, o pobycie w Padwie, chronologicznie wcześniejszym (1552—1556), i zwiedzaniu Włoch środkowych — (Kumy były miejscem pobytu mitycznej sybilli) — por. też fraszkę (II., 26): „Do p. Kłoczkowskiego", wspominającą o pobycie we Włoszech. — Układając koleje życia swego w antytezy, wspomina Kochanowski o latach nauki w Jagiellońskiej Wszechnicy (1544—1547) i udziale w wyprawie wojennej r. 1568 na Moskwę (por. pieśń, napisaną na noclegu obozowym pod Radoszkowicami: „O piękna nocy nad zwyczaj tych czasów", ks. I., str. 13). Wspomina o swoich czasach dworackich — najpierw u J. Firleja, woj. lub. (w r. 1563), a potem na dworze królewskim w charakterze sekretarza (do r. 1569), o swem probostwie katedralnem poznańskiem (1564—1574), etchem, bo nie związanem ze święceniami kapłańskiemi (po r. 1570 probostwo zwoleńskie), wreszcie o swem nominalnem opactwie sieciechowskiem (w r. 1573 obrany został opatem przez sieciechowskich Bernardynów).

jeden ład ogólny, który kierował myślą poety: ład przeciwieństw w życiu, sprzecznych kolei losu.

Kochanowski pisze o sobie i pisze dla siebie, ale jakże inaczej, niż Janicki. Tu nie ma mowy o bezgranicznem — jak u tamtego — rozmiłowaniu się w sobie, owszem, czujemy wyraźnie, że poeta nie zwykł mówić o sobie często i z lubością; jeśli mówi, mówi zwięźle, bardzo zwięźle — tyle właśnie, ile trzeba. Natomiast występuje tu moment inny, bodaj, że po raz pierwszy w poezyi polskiej, moment niepospolitej wagi.

„Dalej co będzie? srebrne w głowie nici...“ Te srebrne nici, to wszystko, co pozostało Kochanowskiemu, to wszystko, co ma dlań wartość po tylu doświadczeniach i próbach: owa srebrna przędza poezyi, z której — da Bóg — jeszcze długie lata snuć i tkać będzie najprzecudniejsze wzorce różnobarwne, — to największy skarb poety i najgoretsze jego ukochanie. Egoistyczna miłość siebie wyszlachetniała: miast ogarniać przemijającą, doczesną istotę — siebie żyjącego, — ogarnęła nieśmiertelne twory własnego ducha, przesunęła się o jeden stopień wzwyż: egoizm nabrał cech egoizmu rodzicielskiego uczucia. Kochanowski w sobie najgłębiej ukochał swe dzieła i ztąd to wzgardzenie przemijającemi wartościami, ta obojętność dla siebie żyjącego. Poeta sam mówi w „Trenach“:

„Wiodłem swój żywot tak skromnie
Że ledwie kto wiedział o mnie.“ (XVII., v. 17—18[1])

Poeta nie dba o to, czy potomni wiele o nim wiedzieć będą, — że go znać będą w jego dziełach, — to wystarcza.

Indywidualność Kochanowskiego osiąga w naszych oczach najwyższy stopień rozwoju — pogardliwie pomija sprawy doczesne, znikome — jako niegodne trudu, — a idzie zwyciężać śmierć, w przyszłość sięga po rzeczy nieśmiertelne. Wspaniała dostojność osiadła na obliczu poety, majestat i powaga, — ale bez cienia pychy, czy zarozumiałości: Człowiek nie pyszni się tu z artysty a artysta zna tylko swą wartość i swą moc do siebie (por. Dodatek II.).

---

[1]) Por. też:
„W co się praca i twoje obróciły lata,
Któreś ty niemal wszytkie strawił nad księgami,
Mało się bawiąc świata tego zabawami... (Tren XIV., v. 13S).

Zgoła odmiennie mówi o sobie piąty poeta.

Samochwalca, dufny w swój „dowcip, darowany z nieba“ [1], przeświadczony o tem, że rymami swymi, jak czerwonem suknem, mości sobie drogę do wiekuistej sławy, a uczonością stawia pomnik, ponad spiże twalszy, przytem *miles gloriosus*, któremu:

„...Póki krew wrzała, bardzo często było.
Uderzyć sam na dziesięć, jako na miód miło...“
(Ibid., v. 324—5).

do tego z żyłką awanturniczą, — oto Maciej Stryjkowski Osostevicius w swej personie. Uważa on sam siebie — i oto nowy przykład nieporozumienia, tak częstego między autorem i dziełem — nie za kronikarza (sam nazwałby siebie zapewne historykiem), — choć to główny jego tytuł do naszej o nim pamięci, — ale przedewszystkiem za poetę. Powielokroć zapewnia nas o swym „dochcipie“, sc. zdolnościach poetyckich, — więc gdy wspomina o „fundamencie ćwiczenia swego“, nieznanej zkądinąd szkole:

„Wam wprzód dank winiem dawać nasz dochcip Brzeziny
. . . .
U was się nasz dochcip mdły wzdobył na swe siły...“
(Ib., v. 31—4).

A dalej, posłuchajmy, na jakie szumnobrzmiące akordy się zdobywa:

„Apollo zaś w opiekę wziąwszy młodość moję,
Omył mię w Helikonie i dał lutnią swoję.
Calliopea mię też za sługę przyznała
A mózgorodna dar swój Minerwa przydała.
I do Castilijskich źrzódł drzwi mi otworzyła.
Których napojem dochcip mój hojnie zaostrzyła.
Żem Parnaze dwuwierzchny doszedł ciebie potym,
Gdziem się przypatrzył nauk świętych darom złotym.“
(Ib., v. 39—46).

A toż to wspaniały ton panegiryku, tem ciekawszego i szczerszego, że sobie samemu wystawionego!

---

[1] M. Stryjkowski: „Kronika polska“, wyd. M. Malinowskiego. Warszawa 1846. — „Maciej Stryjkowski Osostevicius sam o sobie i przygodach swoich w zwiedzaniu rozmaitych krain świata“ (v. 378).

Z takim więc poetą, przez tylu bogów obdarowanym, w tylu świętych źródłach napojonym i omytym, do czynienia mamy: czytajmy tedy dalej bez omyłki między wierszami, skoro mu „skromność“ wyraźnie o swej wielkości mówić nie pozwala, że wszystko, czem sławi po wieki nieśmiertelne imiona Homerów, Wergiliuszów, Tibullów, Catullusów, Sofoklesów, Lukrecyuszów [1]) — to wszystko znamiona jego własnej niepożytej chwały, w którą wierzy święcie i którą w nas chce wmówić, — bo, jak dodaje skromnie:

„Żywą od tysiąc wieków cni bohatirowie,
Których sławią poete i historykowie,
Których jeśli nie dojdę, wżdy za nimi stanę,
Nie dbając, zły Zoile, na kłów twoich ranę.“
(Ib., v. 79—82).

Przeświadczenie o wielkości poetyckiej sławy i kapłańskiej władzy poety rozdzielania innym wieńców nieśmiertelności — to tchnienie Odrodzenia w rymach Stryjkowskiego [2]). Sława i z nią związana cnota, — bo to prawie synonimy w ówczesnym sposobie mówienia — oto ideały i cele naszego autora, przytem licująca z nimi pogarda rzeczy znikomych, doczesnych, — jak to pięknie i z niezwykłą sobie jędrnością wypowiada:

„Małom darów Cereri mogąc słusznie użył,
Bom cnocie, sławie wiecznej, nie brzuchowi służył.
Nie przetom żył, abych jadł jak wół i koń, ale
Tylkom jadł, abych mógł żyć, przestając na male;
Częstom obiad przerywał usilnym czytanim
I rozmaitych rzeczy w mózgu rozmyślanim,
Częstom łyżkę porzucił, a jak w zachwyceniu
Wziąwszy pióro, strawiłem wieczerzą w ćwiczeniu.“
(v. 363—70).

Uważał Stryjkowski przychodzące na niego momenty natchnienia, obserwował zatem siebie i te skromne wyniki samoanalizy twórczej zadokumentował.

---

[1]) „Dokąd w słony Helespont Simois popłynie,
Dokąd Ide, Tenedos trwa: Homerus słynie...“ i t. d.
(Ib., v. 65 i n.).

[2]) „Nie patrzę fas per nefas zysków wykrętami...
Nie trwałe są to rzeczy, a ja myślę o tym,
Bych zjednał sobie sławę i drugim na potym,
Która za godność cnocie poetowie dają.“
(Ib., v. 59—62).

Wznosząc sobie wytrwale pomnik sławy, zabiega usilnie nasz autor, aby potomność nie przeoczyła — broń Boże — ani jednej cegiełki. Nagromadza tedy w swej autobiografii z pedanteryą bibliografa, z namaszczeniem grafomana wzmianki o wszystkich prawie znanych nam dziś swych utworach. A z jaką wspaniałością to czyni! Jakby jego „Bukoliki“ same jedne, po Maronowych, miały przywilej wzruszania, a „Treny o śmierci Zygmunta Augusta“ dopiero unieśmiertelniły pamięć króla, zaś „Przesławnego wjazdu do Krakowa... Henryka Walezyusza... opisanie“ uświetniło ceremonie koronacyjne; jakgdyby „Goniec cnoty“ dopiero nobilitował prawdziwego szlachcica, ba, a nawet „Wywód narodów sarmackich“ stawiał dopiero Polaków w rzędzie sławnych narodów, jakgdyby jego pismo „Przeciw nowochrzczeńcom“ ścierało w proch bluźnierców, jakgdyby traktat „O wolności Korony Polskiej“ dopiero przynosił ostateczne i nieomylne rady: „jak jej strzedz, jak jej bronić z uprzejmej pilności“ (ver. 355 [1]). Tem się też zapewne tłumaczy to oburzenie i zaciętość, z jaką dopomina się o swe prawa, z jaką potępia niecny zresztą czyn Włocha, Aleksandra Guagnini, który przywłaszczył sobie jego dzieło: „Sarmatiae Europaeae descriptio“ i pod swem nazwiskiem wydał, który ośmielił się liściem z j e g o wieńca ozdobić s o b i e czoło [2]). Nie zapomina Stryjkowski o zamiarach swych, nawet o planowanem tłumaczeniu Długosza, nie zapomina o niczem, co mogłoby rozjaśnić blask jego chwały.

Zresztą chwały dla siebie szuka we wszystkiem. Znajduje ją nawet w swej włóczędze po szerokim świecie: „przez morza, góry, rzeki i nieprzeszłe lasy“ (v. 382), w swych rozlicznych, awanturniczych przygodach, w których:

„...ciało moje
Często... i z śmiercią wiodło trudne boje,
Tak, iż Charon kilokroć czarną łódź nawracał,
Lecz, iż za przewóz nie wziął, przewieść mię odwłaczał.“
v. 385—8).

Zdaje się, jakoby przewędrowane setki mil miały autora w naszych oczach podwyższyć, a były w każdym razie nową pod-

---

[1]) Por. kolejno: v. 47-8, v. 49, v. 102-5, v. 97-101, v. 107-8 v. 109, v. 354-60, v. 111, v. 115.

[2]) Patrz w tej sprawie przedmowę M. Malinowskiego, op. cit (str. 21 i n.).

nietą dla jego chełpliwości. Iście zwiedził bo świata kawał niemały! Więc:

„...kraj Pułnocny (sic!)
Moskwy część, Ruś, Liflanty, Memelski port mocny,
Gdzie Kurskie, gdzie Finlandskie i Szwedskie rubieże,
I gdzie Ozelskie morzem otoczone wieże,
Gdzie Kurlandski Hab wody z piaskiem burzy sporze,
Gdzie bursztyn bierzą świetny, gdzie Bałtyckie morze.
. . . .
A chcąc dalej świat zwiedzić, do Turekem jachał
Gdziem jednak ojczyźnie swej służyć nie zaniechał.
Przechodząc Greckie państwa i Insuły Ony,
Morejskie i Bulgarskie, Serbskie, Trackie strony,
I gdzie Multańskie pola i Wołoskie kraje,
I gdzie Besarabska włość stada owiec daje."

(v. 120-4. 129—34).

Bywał tedy w Konstantynopolu z poselstwem Andrzeja Taranowskiego, a bardzo w smak ta podróż dla jego koczowniczej natury być musiała, bo gdy:

„...nas za pontskie morze wieść zasłać groziła,
Zkąd się w mych towarzyszach myśl bardzo trwożyła,
Jam był temu zasię rad, na sławę wzgląd mając,
Iż więcej świata zwiedzę..."

(v. 187—90).

Do Azyi nie powędrował, ale zato robił kilkakrotne wycieczki z Konstantynopola do Grecyi i poznał całe teatrum starożytnych dziejów. Ztąd nowy asumpt do chwały. Splendor oglądanych rzeczy, wielkość spraw, które się na widzianych przezeń miejscach rozegrały, — wszystko to wyliczone zostało i spisane po to jedynie, aby choć promyk jasności ztąd uszczknąć dla siebie. Wielkie, wspaniałe były to miasta, zamki, mury, akademie, świątynie, — ale na te szczątki dawnej świetności patrzały Stryjkowskiego oczy i: „ty nogi onych miast upadki deptały..." (v. 262). Zawsze choć proch greckiej ziemi przylgnął z owych podróży do stóp polskiego samochwała...

Zresztą nie samo wędrowanie tylko wyłączne uświetniło postać naszego autora: liczy on sobie inne jeszcze, doskonalsze zasługi. Oto:

„Zwiedziłem świat, potrzebne znacząc pilnie rzeczy,
Którychby prosty pielgrzym w żadnej nie miał pieczy.

Choćby szedł za Ocean i Indyjskie końce,

. . . .

A wróciwszy się do swych, wszystkom wierszem spisał",
Com sam swym okiem widział i com właśnie słyszał."

(v. 349—54).

Tak tedy poeta złączył się z podróżnikiem, a mędrzec przyszedł w sukurs rycerzowi, bo i rycerzem pokazuje nam siebie Stryjkowski, czy kiedy z wiosłem w garści za cały oręż zmusza chytrych przewoźników tureckich, którzy zamyślili sprzedać go w niewolę, do wylądowania: czy kiedy w pojedynkę stawia czoło rozjuszonemu tłumowi chłopskiemu, czy kiedy darowuje życiem wydanych mu na gardło łotrów [1]). Już to naopowiada się z lubością o swych rozlicznych a cudownych przygodach, z których go zawsze albo osobista przytomność i męstwo, albo oczywista opieka Boska salwowała. Już pięcioletniem chłopięciem tonął w Strykowskim stawie, — że dobyto go martwego, więc złożono na marach i dopiero na odgłos dzwonków kościelnych wróciła dusza do zimnego ciała [2]). A potem od potłuczenia dzwonem, urwanym z dzwonnicy, cudownie ocalał [3]) i w morzu Propontskiem nie utonał, gdy się z nim wątły bat ochynął [4]), — i takich przygód nie zliczyćby dalej na palcach:

„Raz zasię od rozboju strasznego wybawion,
Dwa kroćem z utonienia do brzegu przypławion,
Dwa kroćem mało nie był od Moskwy pojmany,
Raz mało na galery nie był zaprzedany,
Dwa kroćem wytrwał chłopski gwałt...

. . . .

Lecz z opatrzności Bożej zawżdym uszedł zdrowy..."

(v. 311—15, 340).

Dobywał go Bóg i z rąk zbójeckich i wyprowadzał trzykroć z morowego powietrza i z wszelkich innych obieży go zratował, bo snadz przeznaczone mu było niebieskim ukazem napisanie tej, „która przedtym nigdy światła nie widziała, kroniki polskiej, litewskiej..."

---

[1]) v. 175—8; v. 315—322.
[2]) v. 11—26.
[3]) v. 35.
[4]) v. 174.

Tyle między wierszami przeczytać każdy musi i takie ujrzeć oblicze Macieja Ososteviciusa Stryjkowskiego w jego autobiografii: chełpliwe i jeszcze chełpliwe; to też gdyby z greeka — jak to lubił nasz autor — nazwać go nam wypadło, rzeklibyśmy tedy, że był on pierwszym megalomanem polskim, mówiącym w wierszu o sobie.

Dr. J. Grzymała Grabowiecki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czynnik gospodarczy w dawnem prawie wiejskiem.

(Ciąg dalszy.)

Obraz ten, naszkicowany pobieżnie na podstawie opinii uczonych, przedstawia położenie poddanego w ponurych barwach, które tem ciemniej się przedstawia, jeżeli zwrócimy uwagę, iż według wspomnianych badaczy traktuje się chłopa na równi z inwentarzem martwym, wprowadzając go jako przedmiot obiegu [1]). Co do nas, to przyznajemy, iż prawnie pan był uprawniony do jak najsamowolniejszego postępowania z poddanymi, ponieważ nie było hamulca prawnego, którыby mu w tem przeszkadzał, i że prawnie pan miał najważniejsze uprawnienie nad chłopem — życia i śmierci, a tem więcej sprzedaży i darowizny poddanego. Rzeczpospolita bowiem, jako państwo, zrzekła się na rzecz pana wszelkich swych praw co do osoby i majątku poddanego i dlatego badacze, biorący za punkt wyjścia ustawy państwowe, mają najzupełniejszą słuszność. Na szczęście jednak, obok prawnej strony życia, jest jeszcze inna — praktyczna strona i tej to powinniśmy się przypatrzeć, aby stwierdzić, jak faktycznie układały się stosunki we wsi, aby stwierdzić, czy pan szereg swych uprawnień naprawdę wykonywał. W tym celu też musimy pozostawić konstytucye na boku, a spojrzeć w głąb tego miniaturowego państwa wiejskiego i na tem tle dopiero starać się o określenie stanowiska prawnego poddanego. Właśnie

---

[1]) Rembowski: „Wewnętrzne dzieje Polski“, str. 428.

z tego punktu widzenia wychodząc, słuszne nam się wydaje twierdzenie Grünberga, że poddany dziedziczny wcale nie miał odebranej zdolności prawnej, owszem, on na gruncie wiejskim staje się podmiotem praw i obowiązków, a tylko jego zdolność do działania w porównaniu z wolnymi jest ograniczoną[1]). I rzeczywiście, chociaż chłop jest na zewnątrz praw pozbawiony, to jednak wewnątrz własnej wsi cieszy się opieką prawa, które zawsze w pewnej mierze ochrania jego trzy najważniejsze dobra — życie, wolność i mienie. Wiemy bowiem, że prawnie pan miał „ius vitae ac necis" nad poddanym, a przecież w naszych księgach nie spotkaliśmy wykonania wyroku śmierci[2]). Gdy zaś skazuje go się na śmierć, to w każdym razie nie robi tego pan samowolnie, lecz składa w tej sprawie sąd wiejski, lub też sam temu sądowi przewodniczy. Co więcej, gdy ława sądowa wyda wyrok śmierci na skazanego, to przecież pan okazuje miłosierdzie nad nim i łagodzi mu karę na więzienie i grzywnę[3]). Oczywiście łagodność ta miała swój powód. Szło tu bowiem o to, że w ten sposób przez wykonanie wyroku śmierci pozbawiano majętność jednej pary rąk do pracy, tak bardzo potrzebnej w gospodarce folwarcznej.

Podobnie nie więził samowolnie pan włościan, lecz zawsze posługiwał się w tym celu sądem wiejskim, który wydawał odpowiedni wyrok na podstawie istniejących przepisów prawnych. Wprawdzie te przepisy otrzymywały swą sankcyę od pana wsi, czyli, że ten mógł w każdej chwili wydać przepisy, dogodne dla siebie, a krępujące poddanych, zapewne jednak rzadko robił użytek z tego uprawnienia, skoro właśnie ze względów gospodarczych musiało mu zależeć, aby umożliwić włościanom spokojny żywot w własnej wsi, ponieważ w przeciwnym razie żadne, choćby najostrzejsze, ustawy nie uchroniłyby go przed ich ucieczką. I rzecz znamienna. W razie, gdy poddanemu źle, to skarży się przed panem, nie widząc zaś skutku swych zażaleń, posuwa się do groźby, iż nie będzie dalej pracował na gruncie, lecz ucieknie[4]). Zapewne, że takie ostrzeżenie dworu w pojedynczych wypadkach miało ten

[1]) Grünberg: „Bauernbefreiung". str. 7.

[2]) Parę przykładów wykonania wyroku śmierci podaje prof. Ulanowski, omawiając stosunki kasińskie.

[3]) Widzimy to w całym szeregu wypadków w Olszówce i w Suchej. Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 58, 85. Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18 i n, 153.

[4]) Finkel: „Memoryał Antoniego hr. Pergena („Kwart. histor." za r. 1900, str. 38—39.

skutek. iż poddanego zamykano do więzienia obdarzając kajdanami. ale też nie wszyscy byli tak naiwni, tylko bez ostrzeżeń uciekali w dalsze okolice. Ażeby uniknąć tej ewentualności i ażeby utrzymać poddanych we wsi, pan nie mógł postępować samowolnie, jeżeli nie chciał ruiny swego majątku, musiał stworzyć pewien porządek prawny. którego nie tylko poddani musieli się trzymać, ale i sam ze swej strony musiał obserwować. Jednem słowem ma się wrażenie, iż gdyby nawet we wsi polskiej nie było żadnego porządku prawnego. to pan musiałby ten porządek stworzyć, i to taki. któryby zapewniał poddanemu minimum nie zawsze wypowiedzianych przez niego żądań. Mniejsza już, jaki to porządek prawny, skoro w szczegółach pomiędzy poszczególnemi wsiami zachodziły różnice, nieraz daleko idące. W każdym razie można stwierdzić. że porządek ten służył do wykonania pewnych celów gospodarczych. za podstawę zaś miał zwyczajnie prawo niemieckie. które pod wpływem pierwiastków rodzimych polskich, ustawodawstwa pańskiego. przetworzyło się już w prawo danej osady [1]). Tutaj należy zwrócić jeszcze na jedną rzecz uwagę. Oto i gromada ma wpływ na ustawodawstwo. Ona to bowiem sama, lub pochodząca z jej łona ława sądowa, tworzy normy prawa. które po zatwierdzeniu ich przez pana i wpisaniu do ksiąg gromadzkich uzyskiwały moc obowiązującą [2]).

Co do mienia, to już dawniejsza nauka uznała za pewnik. że poddany ma własność rzeczy ruchomych chronioną przez prawo, którą może zupełnie dowolnie rozporządzać. co najwyżej, będąc ograniczony obowiązkiem sprzedaży w dworze pańskim, względnie przedsiębiorcy. mającemu na to pozwolenie dworskie. My dodamy do tego jeszcze jedno ograniczenie. dotyczące bydła roboczego i sprzętów gospodarskich, co do których przed ich alimacya wymagano konsensu pańskiego [3]). Ograniczenie to podyktowane było względami gospodarczymi. skoro tak bydło robocze. jak i sprzęty były poddanemu niezbędnie potrzebne nietylko na własnym gruncie. ale jeszcze w większej mierze przy odrabianiu pańszczyzny.

Kwestya posiadania gruntu przez poddanych jest dotychczas niedość wyjaśniona, mimo całego szeregu usiłowań w tym wzglę-

[1]) Schröder: „Lehrbuch der deutschen Rechtsgeschichte", str. 664.
[2]) Rkp. Bibl. hr. Branickich. 18, str. 77.
[3]) W całym szeregu wypadków widzimy, że synowie, dzielący się gruntem, dzielą się bydłem roboczem i sprzętami. natomiast synowie. otrzymujący spłat. żadnego bydła ani sprzętów nie dostają.

dzie. Idzie tu zaś o sprawę niezmiernej wagi, bo z jednej strony grunt stanowił wynagrodzenie poddanego za pracę pańszczyźnianą, z drugiej zaś strony przedstawia się jako podstawa bytu dla klasy włościańskiej. Dla kmiecia, czy zagrodnika, musiało przedstawiać wielką wagę to prawo do gruntu, jego trwałość i pewność, a w końcu możność przekazania go potomkom. Z badaczy, którzy zajmowali się tą sprawą, najlepsze wytłumaczenie dał Lubomirski [1]), który podzielił włościan na:

a) zakupnych użytkowców,

b) niezakupnych użytkowców,

przyczem oczywiście położenie pierwszych było o wiele lepsze, niż drugich, skoro tylko w pewnych oznaczonych przypadkach można ich było pozbawić gruntu, i to za uprzedniem złożeniem ceny szacunkowej. Zwyczajnie zaś grunt taki przechodził w drodze sukcesyi z ojca na syna. Posiadanie niezakupnych użytkowców nie miało już tej pewności, w razie zaś odebrania gruntu, dotychczasowy posiadacz nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia.

Chcąc określić prawo poddanego do gruntu, jego stałość i trwałość [2]), nie możemy brać pod uwagę stosunków ogólno-państwowych, nie możemy spoglądać na nie pod kątem widzenia konstytucyj sejmowych. Biorąc bowiem pod uwagę te ostatnie, musielibyśmy stwierdzić, iż chłopskie posiadanie nie miało żadnej ochrony prawnej, że tem samem ze stanowiska państwowego nie było zakupnych użytkowców, że był tylko szary tłum poddanych, przenoszonych według widzimisię pańskiego z jednego gruntu na drugi. W Rzptej uznawano tylko jedną własność we wsi — własność pana dziedzicznego, do którego należały wszystkie grunta, nietylko te, które znajdowały się w jego bezpośredniem używaniu, ale i wszystkie grunta chłopskie; ponadto w jego mocy znajdowały się lasy, pastwiska, drogi i wody, a w końcu i nieużytki [3]). W państwie polskiem w tych warunkach miejsca na własność poddańczą nie było.

---

[1]) Lubomirski: „Rolnicza ludność w Polsce“. B. W. 1862. I., str. 14. Guradre, omawiając stosunki poznańskie, przytacza rozróżnienie warstw poddańczych na podstawie ich prawa do gruntu, rozróżnienie to jednak na naszem terytoryum nie znajduje uzasadnienia. (Guradre: „Der Bauer in Posen“, str. 8—9).

[2]) Rozwadowski: „Die Bauern des XVIII. Jahrhunderts“, str. 501.

[3]) Podobnie jest w Niemczech, jak to stwierdzają dzieła Knappa i Witticka.

Inaczej się ta kwestya przedstawia, gdy weźmiemy pod uwagę jedno z tych niezliczonych państw wiejskich, i porównując rolę pana wsi do stanowiska monarchy w państwie, przypatrzymy się pod tym kątem widzenia prawu poddanego do gruntu, zauważymy wtedy, iż pewne rodziny we wsi całymi wiekami jedne i te same role posiadają, że po ojcu następuje syn na gospodarstwie, że jeżeli są jakieś ograniczenia wolnego rozporządzania gruntem, to te podyktowane są względami na prawo bliższości i potrzebę gospodarczą. W całym szeregu wzmianek akta wiejskie stwierdzają, iż grunta wiejskie, będące w posiadaniu chłopów, dzielą się na wkupne i niewkupne, przyczem nazwa pierwszych pochodziła ztąd, że przy nabyciu ich składano pewną sumę, która w razie późniejszego odebrania gruntu była poddanemu zwracana. Takie grunta wkupne widzimy w kluczu łąckim, t. j. we wsiach: Palikówce, Łace, Łukawcu i Terliczce. Takie widzimy w majętności suskiej, ślemieńskiej i żywieckiej, takie w Olszówce, Staszkówce, Swiniarsku i Rajbrocie. Jednem słowem, to najlepsze prawo do gruntu, jakie ma poddany, spotykamy w każdej ze znanych nam wsi, różnica pomiędzy poszczególnemi wsiami zachodzi tylko w tym względzie, iż rozmaicie przedstawiał się stosunek procentowy między gruntami wkupnymi a niewkupnymi. Co do pewnych miejscowości wiemy, że wszystkie w nich grunta chłopskie należały do wkupnych, jak to było w kluczu łąckim [1]), kluczu jangrotskim [2]) i wsi Swiniarsku [3]); co do innych zaś wynosi się wrażenie, jakoby niewkupne grunta były w poważnej mniejszości, a i te były tylko zjawiskiem przejściowem, ponieważ rozwój zmierzał do zamiany ich na wkupne, co niejednokrotnie można stwierdzić [4]).

Jak scharakteryzować te grunta wkupne pod względem prawnym? Nie jest to własność w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, ponieważ za wiele krępuje ją ograniczeń, jednak wychodząc z założenia małego państwa wiejskiego, jako jednostki ustrojowej, sto-

1) Arch. kraj. w Krak., dep. 238, str. 108—109.

2) Baranowski: „Materyały do dziejów wsi polskiej", str. 42-43. Grunta wkupne mają i poddani w dobrach Gostomskiego, jak to widzimy u Baranowskiego: „Wieś i folwark", str. 65.

3) Arch. kraj. w Krak., dep. 199. Nie spotkaliśmy tam bowiem żadnych gruntów niewkupnych, co najwyżej przejściowo.

4) Na poparcie tego faktu można przytoczyć cały szereg przykładów ze wsi Olszówki.

sunek ten nazwiemy do własności podobny[1]). Nie popełnimy tu nieścisłości, ponieważ z jednej strony pojęcie prawne własności nie jest we wszystkich czasach pojęciem stałem, lecz zmieniającem się pod wpływem warunków gospodarczych, z drugiej zaś strony pojęcie gruntów wkupnych ma wiele cech wspólnych z dzisiejszym stosunkiem własności. Możemy bowiem stwierdzić, iż posiadacze gruntów wkupnych mają prawo rozporządzania nimi, mają prawo je sprzedać, zamienić, zastawić, puścić w najem, a w końcu przeznaczyć je jednemu z synów[2]). Istnieją wprawdzie ograniczenia swobodnego rozporządzenia, ale czyż i dzisiejszy właściciel nie jest krępowany w swobodnem rozporządzeniu swą własnością względami na sąsiadów lub dobro publiczne? Ograniczenia poddanego w sprawie własności gruntów jeżeli są, to są podyktowane względami na dobro pana i gromady wiejskiej. Nie zapominajmy bowiem, że wieś od wieku XVI. do XVIII., to jeden warstat pracy, skupiający się koło dworu, w którym zasadniczo wszystko się wytwarza, w którym każde gospodarstwo chłopskie jest jednem z ogniw niezbędnych, za którego złem funkcyonowaniem lub wyłączeniem cały mechanizm szwankuje. Nie zapominajmy, że gromada jako taka była odpowiedzialna za podatki, że na nią spadają kontrybucye, że ona przy zbiorowej robociźnie ręczy za jej wykonanie. Dlatego tak gromadzie, jak jeszcze w większej mierze panu, nie mogło być obojętne, kto jest właścicielem gospodarstwa chłopskiego, ponieważ w razie, gdy ten nie był zdolny do prowadzenia samoistnej gospodarki, ciężary spadały na gromadę, która musiała je rozłożyć na innych gospodarzy, w dalszej zaś linii na pana wsi, który odpowiadał za podatki państwowe. Nie zdziwi nas więc obowiązek, ciążący na poddanych, uzyskania zgody zwierzchności dworskiej przy alienacyi majątku[3]), który jednak nie musiał ich zbytnio obarczać, skoro z jednej strony niezawsze skrupulatnie go przestrzegano, a z drugiej strony, jeżeli tylko nowy właściciel był

---

[1]) Za dziedzicznych właścicieli uważa poddanych, mających grunta zakupne i tak poważny badacz, jak Grünberg („Bauernbefreiung", str. 60—63).

[2]) Rkp. Bibl. Jagiell., 274, str. 35.

[3]) Tamże, str. 70. „Wojciech Wolak kupił zagrodę u Mateusza Pękucza i prosił o zapisanie mu tej zagrody, na co Pani Jadwiga Staszkowska pozwoliła." Podobnie było i w Świniarsku, gdzie sąd, oddając ojczyznę Marcinowi Makulkowi, stwierdza, że „on ją albo sam osiędzie, albo komu przeda takiemu, coby się Jego Mości podobał". (Arch. kraj. w Krak., dep. 199, str. 194).

zdolny do prowadzenia samoistnej gospodarki, to tego pozwolenia nie odmawiano. Co więcej, pozwolenie to czasami ograniczało się do zwykłego zawiadomienia dworu o przejściu gruntu w inne ręce, jak to widzimy w majętności suskiej, zapewne zaś podobnie było w kluczach ślemieńskim i żywieckim, skoro i te należały do jednego właściciela[1]). W Suchej bowiem żądano jedynie sporządzania kontraktów alienacyjnych w zamku suskim w obecności wójta i czterech przysiężnych, co naprawdę nie tyle może być uważane za ograniczenie, ile za rozporządzenie, zmierzające do uregulowania obrotu nieruchomościami. Że nie było to ograniczenie, to wnioskujemy jeszcze z tego faktu, że w praktyce rzadko taka ilość przysiężnych była obecną przy akcie, a co więcej, że sami poddani między sobą zawierają kontrakty, o których dwór dopiero po latach się dowiaduje[2]). Podobne postanowienie wydał w Limanowej tamtejszy dziedzic, Achacy Przyłęcki, w roku 1643, na którego podstawie do ważności wszelkich aktów, tyczących się nieruchomości, żądano wpisu w księgi miejskie[3]). Czyż w tym przypadku nie uderza analogia z dzisiejszym obowiązkowym wpisem hipotecznym?

Mamy jeszcze i inne ograniczenie w swobodnem rozporządzeniu własnością, do którego możemy znaleźć paralelę w dzisiejszych stosunkach. Oto na podstawie ustawodawstwa pańskiego nie wolno było poddanym przedawać swych gruntów chłopom z obcych wsi, podlegającym innym panom, przyczem zakaz ten rozciągano na

---

[1]) Chomentowski: „Materyały do dziejów robocizny w Polsce", str. 415—6: „dokładając oraz, aby pomienionych zakupieństw targi i każde pomiarkowanie nie działo się gdzieindziej tylko w zamku przy obecności wójta, przysiężnych najmniej czterech, jeżeli można i przy woźnym".

[2]) Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18, str. 96—97.

[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 195—6: „postanawiamy od dnia dzisiejszego i roku . . . ., jeżeliby się to kiedy trafiło (czego żaden człowiek żyjący ujść nie może), żeby kto ostatnią wolę swoją przez testament czyniąc, z tegoż świata schodząc, tegoż testamentu do xiąg naszych urzędowych nie wprowadzał i nie zapisał, takowy testament i wszystko to w nim opisane, na potym i na zawsze, ktoby chciał według testamentu swego succesive dochodzić, żadnej wagi ani mocy, ani takowa sprawa przed Urzędem naszym przedkładana, mieć nie będzie mogła i ab hinc nie ma: toż się ma rozumieć i o inszych według kondicyi naszych Contraktach, jako przedawania, zastawiania tak w gruntach wszelakich, jako i w budynkach, gdzieby tesz także do xiąg tego nie uwodziły, eandem nullitatem swych Contraktów popadać będą".

przypadki zastawu, zamiany i najmu[1]). I w naszych stosunkach państwowych poddanemu obcego państwa wolno nabywać nieruchomości jedynie pod warunkiem wzajemności i na tej to podstawie obywatele czarnogórscy nie mogą nabywać gruntów w Monarchii austryacko-węgierskiej. Nawiasem należy zauważyć, iż w wspomnianej już Limanowej istniał zakaz obdarowywania nieruchomościami kościoła, bractwa i szpitala, którego się zresztą w praktyce nie trzymano. Zakaz ten należy do tych licznych rozporządzeń, jakie zdarzały się i w stosunkach szlacheckich, a zabraniających obdarowywania posiadłościami martwej ręki[2]).

Przypatrzmy się teraz z kolei szeregowi kwestyj, związanych z własnością gruntu, szkicując na tem tle wpływ warunków gospodarczych na rozmaite instytucye prawne. I tu można zauważyć, że wpływ ten objawia się na każdym kroku, zmieniając nieraz zasadniczo porządek prawny. Widzimy to przy systemie dziedziczenia gruntów wiejskich i przy kwestyach z tym systemem związanych, skoro w zwyczajnych warunkach ojciec dowolnie rozporządza swym majątkiem nieruchomym według ogólnych zasad sukcesyi, a tymczasem pod wpływem czynnika gospodarczego zasady te ulegają przemianie. Spojrzmy bowiem na tak ważną kwestyę podzielności lub niepodzielności gospodarstw chłopskich. Normalnie chłop winien mieć wszelką wolność wyboru między temi dwoma ewentualnościami, tymczasem w praktyce musi się powodować zwyczajami wiejskimi, w pewnej mierze postanowieniami pańskiemi, które wolę jego krępują.

Kwestya podzielności czy niepodzielności gruntów, to sprawa wielkiej wagi, bo od tego zależało w znacznej mierze tak dobre położenie poddanego, jak i większy dochód dworu. Jeżeli bowiem weźmiemy pod uwagę stanowisko chłopa, to przecież dla niego lepiej było posiadać większe gospodarstwo, zapewniające mu dostateczne utrzymanie i pozwalające mu opłacić wszelkie ciężary,

---

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 237. Książę Paweł Sanguszko, dziedzic wsi Terliczki, wydaje następujące rozporządzenie: „Gruntów zaś żadnych do tej wsi antiquitas należących, aby się poddani Terleccy cudzym poddanym to jest wsi innych Panów mieszkającym zastawować, a tym bardziej przedawać nie ważyli się pod surową zaleca się karą." Postanowienie to odczytywano zebranej gromadzie na sądzie rugowym.

[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 195: „Także strony domów i inszych gruntów miasteczku temu należących, aby się nie ważył żaden z mieszczan legować tak kościołowi, także bractwu i szpitalowi."

niż gospodarstwo karłowate, któreby go zmuszało do szukania zarobku gdzieindziej. Nie rozumieli tego jednak przeważnie poddani, dążeniem ich bowiem jest podział gruntów nawet daleko idący, bo na małe parcele i zagony, przyczem zapewne powodowali się wielką ilością potomstwa, zwłaszcza męskiego, które musiało dostać jakąś część zagonu ojcowskiego. Odmienne zaś było stanowisko dworu, chociaż pozornie zdawałoby się, że pan będzie popierał dzielenie się gospodarstw chłopskich, ponieważ tym sposobem wytworzą się gospodarstwa karłowate, których właściciele, zmuszeni warunkami, będą za małą opłatą pracować na gruntach folwarcznych. Nie zapominajmy jednak, że obok pańszczyzny pieszej, była i ciągła, która nawet ważniejszą rolę odgrywała w gospodarce folwarcznej: tej zaś nie mogły dworowi dostarczyć gospodarstwa małe, skoro te nie były w stanie wychować koni i bydła, lecz jedynie gospodarstwa większe. Ztąd to też dążnością dworu jest zachować gospodarstwa kmiece i zagrodnicze, uchronić je przed podziałami [1]). W kluczu łąckim pod rokiem 1710 wydano w tym celu dekret, „żeby kmiecych ról i zagród w żądnych dobrach nie dzielono, ale żeby całą rolę lub gospodę jeden gospodarz trzymał“ [2]), a i w całym szeregu wyroków w kluczu suskim możemy stwierdzić to dążenie [3]). Niestety dwór albo nie miał odpowiedniej siły do wykonania swych rozporządzeń, lub też zmieniający się właściciele nie kontynuowali z całym naciskiem polityki swych poprzedników. Widzimy bowiem, że w tym samym kluczu łąckim, mimo rozporządzenia książęcego, podział ról i zagród ma miejsce; że ostatecznie zasada uroczyście proklamowana znajduje się najzupełniej na łasce poddanych, którzy według swej woli postępują. I po całych dziesiątkach lat zauważamy ten ciekawy fakt, że dwór w obec zwyczaju wiejskiego ustępuje, a chcąc chociaż w pewnej mierze ratować zasadę, zadawala się półśrodkiem. Oto ustanawia granicę podziału, stosunkowo nizko określoną, poniżej której wszelkie dzielenie gospodarstw jest nieważne i niedopuszczalne. W kluczu łąckim pozwolono dzielić gospodarstwa aż do zagrody dwudniowej [4]), w Suchej zaś granicę stanowi raz półrolek, to znowu

---

[1]) Niepodziolności gruntu trzymano się w wielu okolicach Niemiec, jak to widzimy z opracowań Dultziga („Das deutsche Grunderbrecht“, str. 5) i Seringa („Erbrecht und Agrarverfassung“ str. 153).
[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 30—32.
[3]) Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18, str. 25.
[4]) Arch. kraj. w Krak., dep. 239, str. 30—31.

ćwierć zarębku, przyczem robocizna z tej najmniejszej jednostki gruntowej wynosiła pół dnia bydłem tygodniowo [1]. Dalej podział postępować nie mógł, ponieważ — jak mówi księga suska w sprawie spuścizny czterech braci Sobańskich — „na którym (pół zarębku) niepodobneby im wszystkim się mieścić, gdyż nie gospodarzami, ale komornikami poczytaćby się musieli" [2].

Nie mamy jednak przekonania, jakoby poddani tę granicę obserwowali, nie mamy tego przekonania tem więcej, że i dwór niezbyt dokładnie tę zasadę określał, lecz zostawiał furtkę dla dalszego podziału. Przypatrzmy się bowiem, pod wpływem jakiego motywu działał dwór łącki, wprowadzając jako granicę podziału zagrodę dwudniową. Oto zauważano, że poddani dzielą gospodarstwa nawet na małe parcele, a każdy z tych właścicieli buduje sobie dom i zabudowania gospodarcze, przez co przychodzi do wielkiego wyniszczenia lasów. Chcąc więc temu wyniszczeniu zapobiedz, wprowadzono tę granicę podziału, przyczem jednak zaraz następnem zdaniem ją osłabiono, skoro pozwolono dzielić grunt i na zagrody jednodniowe, o ile tylko nowy posiadacz zobowiązał się nie stawiać budynków [3]. I w kluczu suskim nie było inaczej, skoro dwór uznaje za granicę raz półrolek, to znowu ćwierć zarębku, a w praktyce nie umie dopilnować ani jednej, ani drugiej zasady, zdając to na wolę poddanych. W ogóle ma się wrażenie, że w tym wypadku nie tyle należy patrzeć na rozporządzenia zwierzchności dworskiej, ile na praktykę, jakiej się trzymali poddani (ta zaś układała się według zwyczaju wiejskiego), ponieważ ta nam dopiero odtworzy faktyczny stan rzeczy. Pod tym to kątem widzenia patrząc, widzimy, że niepodzielności gospodarstw trzymano się we wsiach Staszkówce i Świniarsku, w innych zaś raz przeważała ta, to znowu owa zasada, przyczem faktycznym rezultatem był coraz bardziej postępujący podział gruntów. Nawiasem należy zauważyć, że czasami, mimo podziału, gospodarstwo po pewnym czasie mogło połączyć się w jednych rękach. Mamy bowiem rozporządzenia ostatniej woli, w których ojciec wprawdzie dzieli grunt między synów, ale przytem zamieszcza klauzulę, „jeżeliby też który przeciwko drugiemu był występny, tego go odsądza, spłaciwszy mu, a dobremu daje w moc" [4].

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Branickich 18, str. 193—4.

[2]) Tamże, str. 468.

[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 239, str. 30—31.

[4]) Tamże, dep. 236, str. 12.

W przypadku, gdy jeden z synów otrzymywał ojcowskie gospodarstwo, inni musieli zadowolić się spłatą pieniężną, przyczem traktowano równomiernie synów i córki. Wypadnie się jednak zastanowić, jakich zasad trzymano się przy określaniu części poszczególnych synów, czy otrzymywali oni pełną wartość, czy też tylko jej cząstkę. Wiemy bowiem, że w Niemczech w takich wypadkach trzymano się dwóch zasad. Z jednej strony starano się przy określeniu części utrzymać gospodarstwo na dawnym poziomie, a więc usiłowano nie obarczać go zbytnio, z drugiej zaś strony dążeniem było, aby ta cząstka, obliczona w pieniądzach, umożliwiła uprawnionemu założenie ogniska domowego[1]). Inaczej było u nas. Z całego bowiem szeregu faktów możemy wysnuć wniosek, że każdy z synów otrzymuje po oszacowaniu majątku przez wójtów i przysiężnych równą część, przyczem pozostający na gruncie obowiązany jest wypłacić ją braciom w pieniądzach, mając tylko to udogodnienie, iż nierzadko spłaca tę część ratami, a nierzadko w tej sumie pieniężnej zastawia kilka kawałków gruntu[2]).

Z chwilą, gdyśmy potrącili o kwestyę niepodzielności gruntów, nie od rzeczy będzie omówić, który z synów otrzymywał grunt po ojcu. Tu mogły zachodzić dwa wypadki — albo dziedziczył syn najstarszy, względnie najmłodszy. Seniorat utrzymywał się prawdopodobnie w Świniarsku, jak to możemy zauważyć w przypadku Jakóba Kizła, któremu brat młodszy ustępuje gospodarstwa[3]), minorat zaś w kluczu łąckim i majętności suskiej, o ile tu i ówdzie mamy przeprowadzoną zasadę niepodzielności gospodarstwa. Jaki moment tu oddziaływał? W przypadku senioratu jasnem jest, że najlepszą gwarancyę dobrego prowadzenia gospodarstwa dawał właśnie syn najstarszy, który już za życia ojca pomagał mu w gospodarstwie i był jego prawą ręką. Jak jednak wytłumaczyć minorat? Naszem zdaniem działać tu mogły dwa względy. Najpierw troska rodziców o najmłodsze dziecię, które później przyszedłszy na świat, nie miało sił i mocy po temu, aby samoistne założyć sobie gospodarstwo, ponadto oddziaływało tu pragnienie rodziców, aby jak najdłużej utrzymać się przy gruncie, co oczywiście najlepiej mogli urzeczywistnić przy najmłodszym, który dłużej wymagał opieki.

---

[1]) Dultzig: „Das deutsche Grunderbrecht", str. 206. i Sering: „Erbrecht und Agrarverfassung", str. 153.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Branickich, 18. str. 36, 94.

[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 199. str. 206—7.

Te dwie zasady senioratu i minoratu powstania swego nie zawdzięczały ustawodawstwu pańskiemu, lecz były ugruntowane w zwyczaju prawnym wiejskim, którego i dwór nie miał siły przełamać, a tem mniej mógł mu się opierać sam poddany. Dlatego też, kiedy matka dwóch braci siwych zapisała starszemu synowi połowę zagrody, to ludzie jej perswadowali, że „źle czynisz, krzywdę młodszemu czynisz“, tak, że wobec zgodnej opinii potępiającej musiała ustąpić i całą zagrodę odstąpić młodszemu [1]).

Nawet w przypadku podzielności gospodarstwa stanowisko najmłodszego było uprzywilejowane. Kiedy bowiem we wsi Łące przyszło do podziału gospodarstwa między dwóch braci Wiecków, to młodszy Michał po za gruntem otrzymuje jeszcze sadybę ojcowską, w której starszemu Sebastyanowi pozwolono tylko przez pięć lat mieszkać [2]). W majętności suskiej zaś po podziale gruntu na części, młodszy miał zawsze prawo wyboru między niemi tej, która mu się wydawała najodpowiedniejsza [3]).

Czasami jednak zdarzało się odstępstwo od tej zasady forytowania najmłodszego i to znowu pod wpływem momentów gospodarczych, ponieważ musiano uwzględnić pracę starszego i ciężary, jakie ten poniósł, prowadząc gospodarstwo. Widzimy to w Suchej, gdy toczy się sprawa o dziedzictwo między dwoma braćmi Pająkami. Sąd bowiem orzekł, że „luboby młodsy brat bliższy był dziedzictwa, to jest Wojciech, ale że starsy brat naprzód przez wszystkie lata z czwarcizny osługiwał i opłacał, owszem drugą część tego pułzarambku odbieżałą do osługiwania objął i przez trzy lata osługiwał i opłacał“, dlatego on otrzymał dziedzictwo [4]).

Pośrednią formą trzymania gruntu między niepodzielnością i podzielnością gospodarstwa była wspólna gospodarka, którą zwyczajnie prowadziło dwóch poddanych, niekoniecznie złączonych węzłem pokrewieństwa, przyczem na zewnątrz gospodarstwo przed-

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 107.

[2]) Tamże, dep. 236, str. 21.

[3]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 144—6. Podobnie szereg przykładów forytowania młodszych synów podaje Sering-Erbrecht, str. 150.

[4]) Tamże, str. 305. Takiż przypadek zaszedł we wsi Palikówce, w której Michał Panek zamiast oddać cały półrolek najmłodszemu Sebastyanowi, dzieli grunt na dwie części: jedną z nich zapisuje starszemu synowi Mikołajowi, ponieważ „będąc u mnie przez lat kilka, ratował mnie w mojej dolegliwości alias w potrzebie, nie wyglądając ni u kogo innego. Tylko on mnie ratował i ratuje do tego czasu“ (Arch. kraj. w Krak., dep. 238, str. 75—6).

stawiało się jednolicie, a tylko na wewnątrz właściciele mieli moc dzielenia się zagonami. Mieszkali również wspólnie, co jednak było powodem ciągłych niesnasek i kłótni, kończących się nierzadko krwawemi ranami, wobec czego epilog odgrywał się już przed kratkami sądu wiejskiego. Współwłaściciele sami, nie mogąc zgodzić się ze sobą, prosili o podział gruntu i rozdział mieszkania tak, że instytucya ta współwłasności nigdy nie miała długiego życia [1]).

Wpływ warunków ekonomicznych odbijał się w wielkiej mierze i w dopuszczeniu do dziedziczenia małoletnich kobiet i kalek i to tak w dziedziczeniu z testamentu, jak i z ustawy. Szczególnie w pierwszym przypadku objawiła się konieczność konsensu pańskiego, ponieważ działał tu ten wzgląd, podobnie jak przy kontraktach alienacyjnych, ażeby niedopuścić do dziedzictwa niezdolnego do prowadzenia samoistnej gospodarki. Ztąd też dwór nieraz robi użytek ze swego uprawnienia i zmienia w odpowiednich punktach testament.

Co do dziedziczenia kalek, to poddany nawet nie narażał się na odrzucenie w tem postanowieniu swego testamentu i już *a priori* wymawiał tylko dla niego pewną sumę pieniężną, kilka zagonów i mieszkanie do śmierci. Inna jednak rzecz była z małoletnimi i kobietami. Odnośnie do małoletnich można stwierdzić, iż zasadniczo uznawano ich prawo dziedziczenia. Ponieważ jednak podatki i powinności, ciążące na gruncie, musiały być oddawane, a małoletni, przynajmniej do pewnego czasu, nie mógł prowadzić samoistnej gospodarki, przeto wprowadzano opiekę nad gruntem aż do dojścia do odpowiednich lat właściwego dziedzica, co w praktyce rozumiało się aż do jego ożenku. Do opieki tej, jak stwierdza księga sądowa Olszówki, w pierwszej linii był powołany stryj małoletniego, powoływano jednak często brata starszego [2]), dziadka a w końcu i ojczyma, o ile wdowa wyszła powtórnie zamąż. Po-

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., str. 71—4.

[2]) W Olszówce „a że zaś Szymon Warwasiak jeszcze młodzian do drugiej czwarcizny jako najmłodszy brat i dziedzic należy, a teraz jej obsiać i trzymać nie może, więc Jędrzej Warwasiak, brat rodzony i średni, na niego ma dotrzymywać dotąd, dokąd Szymon Warwasiak się nie postanowi". (Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 49.)

W Świniarsku po śmierci Walentego Łabasoka pozostał syn „który lat niema doskonałych, którego matcze opieke przysądzono dla odrabiania Pańskiego, aby się przez to omieszkanie żadne nie stało". (Arch. kraj. w Krak., dep. 199, str. 151—2.

wołanie uwarunkowywała blizkość pokrewieństwa, przyczem nieraz zdarzały się spory o opiekę, zwłaszcza gdy gospodarstwo było kwitnące. Opieka — jak to już zauważyliśmy — miała na uwadze grunt, szło bowiem nie o opiekę małoletnich dzieci, ale o to, „aby podatki państwowe regularnie były składane i aby składki gromadzkie nie ciążyły na gruncie jako dług“. O dzieci nie bardzo się troszczono. Jeżeli jeszcze były niemowlętami, a matka na razie nie wychodziła zamąż, to wymierzano wdowie parę zagonów gruntu na wyżywienie, dołączając do tego krowę [1]). Gorsze już było położenie starszych dzieci w przypadku opieki. Kiedy we wsi Olszówce nad małoletnimi Jagodami dano opiekę stryjowi Tomaszowi, to ten im „żywności nie dawał, przyodziewku nie sprawiał, pola pod zasiew nie pozwalał i ciż po cudzych tułając się kątach, sami o sobie staranie mieli“ [2]). Zwyczajnie zaś aż do uzyskania pełnoletności pozostawały one na gruncie w charakterze służących u brata lub stryja, a już uważano za wielki przywilej, gdy za wiadomością dworu i wójta mogły przenieść się na służbę do innego poddanego [3]).

Gdy dziedzice doszli do lat, to jeszcze nie odrazu otrzymywali oni grunt. Zwyczajnie bowiem strony udawały się do dworu, względnie do sądu gromadzkiego, aby ten ocenił, czy tymczasowy gospodarz nie zniszczył majętności, czy znajdują się na niej wszystkie sprzęty, które mu przy objęciu oddano, jak również aby oszacował w pieniądzu wszelkie ulepszenia w gospodarstwie, ponieważ wartość ich dziedzice musieli mu zwrócić, zanim mogli objąć swoją dziedzinę [4]).

Przypadek, zacytowany przez nas, w którym tymczasowy gospodarz opiekuje się gruntem aż do pełnoletności właściwych dziedziców, jest normalnym. Czasami jednak tymczasowy gospodarz uzyskiwał lepsze warunki czy to przez objaw woli pańskiej, czy też w drodze późniejszej umowy z uprawnionymi. I tak widzimy, że w kluczu ślemieńskim poddany Jakób Kachel ma dożywotnio opiekować się gospodarstwem [5]), w innym zaś przypadku

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 296.

[2]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 23.

[3]) W majętności suskiej małoletni Sobańscy mają mieszkać przy starszym bracie, „którzy powinni przestrzegać, aby naprzód była bojaźń Boża, żeby się rzadzieli i nie chałasowali się pod karą i winą dworską, żeby słuchali gospodarza, a jeżeliby się któremu przykrzyło przy bracie, tedy opowiedziawszy się zamkowi i opiekunom, wolno będzie, gdzie chcieć służyć“. (Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 35—7).

[4]) Tamże, str. 36.

[5]) Tamże, str. 225.

w majętności suskiej Jan Bogacz otrzymuje połowę zagrody za to, że małoletnie dzieci wychował, że prowadził gospodarstwo w ciężkich czasach i że wyrobił dużo gruntu własną pracą [1]). Te lepsze warunki mógł uzyskać także brat starszy, o ile dotrzymywał gospodarstwo na młodszych braci [2]).

Wykazaliśmy przykładami, że w prawodawstwie wiejskiem uznawano prawo dziedziczenia małoletnich. Tu i owdzie jednak znajdą się od tej zasady wyjątki. Jako taki przedstawiałby się fakt zaczerpnięty ze wsi Olszówki, w której po śmierci zagrodnika Skorubki, mimo istnienia małoletniego syna tegoż, grunt jednak dostał się w ręce innego poddanego. Postąpiono w ten sposób dlatego, ponieważ szwagier zmarłego, Szymon Kolban, nie chciał objąć opieki nad małoletnim i nad gruntem, więc oczywiście dwór dla obrony swych dochodów musiał się chwycić takiego środka [3]). Drugi natomiast przypadek, wzięty z tejże wsi, niedwuznacznie już mówi, że nie liczono się z prawem małoletnich dziedziców, skoro po śmierci poddanego Idzika nie oddano jego dzieciom gruntu, tylko niewielką kwotę pieniężną tytułem spłaty pieniężnej, która do tego nie przypadła im w udziale, ponieważ dzieci nie chciały jej przyjąć [4]).

Co do dziedziczenia kobiet, to trzymano się reguły, że w razie istnienia potomstwa męskiego, ono ma w pierwszej linii dziedziczyć, a dopiero w braku tegoż powołane są kobiety, i to o tyle, o ile są zamężne. Zasadę tę między innemi wypowiada jeden z wyroków, pomieszczonych w księdze sądowej suskiej. „mając wzgląd na synów trzech, którzy grunt mieć po ojcu powinni, a córki tylko bydłem lub inszemi ruchomościami wyposażone bydź powinny“ [5]). Zasadniczo więc prawodawstwo wiejskie widzi niechętnie na czele gospodarstwa kobietę, wychodząc z tego założenia, że ta nie może dobrze prowadzić gospodarki, że nie zdoła odrabiać pańszczyzny ciągłej, a przedewszystkiem, że nie potrafi wykonać szeregu prac, potrzebujących ręki męskiej. Wypadnie jednak zaraz zaznaczyć, że

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 98.

[2]) Tamże, str. 31—2. Bracia Pająkowie oddali bratu starszemu Wojciechowi budynki mieszkalne ponad dział.

[3]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 9. Zapytano się Szymona Kolbana, jeżeli korzysta na syna Skorubkowego, Józefa, w ojczyźnie jego teraz ją odbieraj i osiadaj na nią, żeby Dwór bez to szkody nie miał, zeznał dobrowolnie przy mnie i przy prawie, że o niczym nie ławyli

[4]) Tamże, str. 42.

[5]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 403.

odmiennie są traktowane wdowy, bo te, o ile można stwierdzić, mogą samodzielnie prowadzić gospodarstwo po śmierci męża, nie wychodząc nawet powtórnie zamąż [1]). Na te specyalne względy, jakimi cieszą się wdowy, złożyły się również czynniki ekonomiczne. Nie zapominajmy bowiem, że żona na terytoryum wiejskiem, to towarzyszka trudów swego męża, że kwitnące gospodarstwo w znacznej mierze i jej staraniom należy przypisać, że ponadto tu i owdzie posag jej utonął w gruncie. Ztąd też zapisy, czynione przez ojca na rzecz pobierających się, opiewają na męża i żonę w równej części. Obok tego i inne przyczyny były tu czynne. Obok wdowy znajduje się szereg dzieci, niemal już dorosłych, które stanowią dla niej walną pomoc, a przytem może ona trzymać w charakterze służącego jakiegoś parobka, nie prowadzącego dotąd własnej gospodarki.

Można zaś stwierdzić, że wdowy niechętnie puszczają ster gospodarki ze swych rąk, prawdopodobnie może w obawie, aby dzieci nie wypłaciły się im czarną niewdzięcznością. Kiedy we wsi Świniarsku Jakób Kupiec zapisywał dom i grunta Janowi Filipowiczowi, swemu zięciowi, to zastrzegł jak największe poszanowanie dla żony swej Jadwigi, grożąc, że w razie przeciwnym stracą na jej rzecz majętność [2]). W innym przypadku Anna Leska, przeprowadzając podział roli między synów, zamieściła następującą klauzulę w zapisie: „tylko to sobie wymawia, jako matka tych synów, poko może dać radę, niech trzymam, co prawo tego nie neguje“ [3]). Nieraz jednak wdowa zmuszoną była pod wpływem warunków zrzec się gruntu, ażeby sama lub z dziećmi osiąść na stare lata na komornem. W tym wypadku, jeżeli tylko na czas zawiadomiła zwierzchność dworską, nowy właściciel, którego pan osadził, winien był spłacić ją z gruntu, może nie zawsze pełną kwotą szacunkową, ale przynajmniej sumą, zapewniającą jej jaki taki byt z dziećmi [4]).

---

[1]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 63.

[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 199, str. 136—7.

[3]) Tamże, dep. 236, str. 106—7. We wsi Staszkówce jeden z poddanych, zapisując grunt synowi, wyraźnie zastrzega, ażeby nietylko po jego śmierci szanował matkę, ale także pozostawił w jej ręku rząd gospodarczy.

[4]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 63. Jeszcze jednak mniejsza była ta kwota, jeżeli wdowa bez zawiadomienia dworu grunt opuściła. W takim bowiem razie otrzymywała tylko $^2/_3$ ceny szacunkowej.

Córka niezamężna, nawet w braku męskich potomków, zasadniczo nie miała prawa dziedziczyć po ojcu i dlatego zwyczajnie otrzymywała pewną kwotę pieniężną, mającą przedstawiać cenę szacunkową spuścizny ojcowskiej. Jak jednak w tym przypadku nisko szacowano grunt, to świadczy sprawa Agnieszki Nawarczanki, której za półrolek chciał dać stryj jej tylko 20 złp.[1]), w kilkanaście zaś lat później, chcąc naprawić krzywdę, przyznano jej kwotę 200 złp.[2]).

Mimo zasady, że córki nie dziedziczą nieruchomości, przecież jednak w pewnych przypadkach inaczej postępowano, i to nawet wtedy, gdy te były małoletnie i trzeba było ustanowić opiekę gruntową. W Suchej wdowa Stanaszkowa przez pewien czas prowadziła gospodarstwo dla swoich małych córek, nie mogąc zaś podołać trudom, poprosiła dwór o opiekę dla gruntu aż do pełnoletności dziedziczek. Zwierzchność dworska przychyliła się do jej prośby, ustanawiając opiekunem stryjów, Michała i Błażeja Stanaszków„ równocześnie zaś poleciła wójtowi i przysiężnym, aby „zszedszy na grunt dla wyżywienia, matce z dziećmi zagonki wydzielili“ [3]).

Mamy i inny przypadek dziedziczenia córki, przypadek tem ciekawszy, że w nim syna pominięto w dziedzictwie. We wsi bowiem Terliczce Sebastyan Pasierb wydziedzicza syna, który nie chciał na gruncie pracować, majątek zaś cały oddaje córce Reginie, „która po śmierci matki swojej, a żony mojej, była dotąd przychylna i będzie po śmierci, aby się kościom moim nie dała poniewierać, ale według możności swojej pochować“ [4]).

---

[1]) Rkp. Bibl. Jagiell., 909, str. 8.
[2]) Tamże, str. 31—2.
[3]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 264.
[4]) Arch. kraj. w Krak., dep. 237, str. 23. W Starej Wsi widzimy nadanie zagrody trzydniowej Katarzynie Nowaczance. (Arch. kraj. w Krak., dep. 305, str. 51.

Dr. Józef Rafacz.

(Dokonczenie nastąpi.)

Przedsejmowe rokowania w sprawie soboru narodowego z r. 1554—1555.

(Wstęp. — Położenie kleru. — Myśl o soborze narodowym. — Geneza tej myśli. — Stanowisko króla. — Porozumienie z roku 1550 a 1555. — Autentyczność listu. — Zakończenie.)

W dziejach ruchu religijnego w Polsce Sejm piotrkowski z r. 1555 ma przełomowe znaczenie. Sprawy, tworzące tok jego obrad, nie były, ani nieznane, ani nowe. Niezgodę wywoływała ta sama jurysdykcya duchowieństwa, chęć zwrócenia wpływów biskupich w dawne granice [1]) i zachowanie królowi z nikim niepodzielnej władzy. Obie strony były pewne zwycięstwa! Biskupi pokładali nadzieję w sile moralnej ustanowień kościelnych i liczyli na pomoc królewską, — rycerstwo zaś opierało się na sprawach wolności; bardziej przenikliwi lękali się — jak n. p. biskup warmiński, Hozyusz — łączności nowinkarzy, którym przewodził Radziwiłł.

Książę Mikołaj Radziwiłł był właśnie w łaskach królewskich i wpływową osobistością na dworze królewskim, był zresztą bratem stryjecznym królowej Barbary, podczaszym Wielkiego Księstwa litewskiego, księciem na Ołyce i Nieświeżu, — szybko doszedł do

[1]) Orichoviana, str. 93—95: „która się teraz ku ich zagładzie zwracała“.

najwyższych godności w państwie. Monarcha osadził go dla miłości żony swojej na województwie wileńskiem, dał mu marszałkowstwo i kanclerstwo litewskie, a Radziwiłł umiał zyskać zaufanie króla i umiał rządzić. Zmienił on w r. 1553 wiarę i dla tej nowej gotował na Litwie gościnne przyjęcie [1]). Całe położenie kraju czynił Hozyusz zawisłem od króla, który — zdaniem jego — ulegał Radziwiłłowi [2]).

Duchowieństwo nie było zjednoczone. Brak większego zainteresowania pogarszała niesprawna ręka arcybiskupa Dzierzgowskiego, który siedział na archidyecezyi gnieźnieńskiej, jako człowiek niewielkiej nauki i niezbyt dobry przykład do naśladowania. Podobnie jak rycerstwo dawało na sejmikach swoim wysłańcom wskazówki na zbliżający się Sejm, tak i duchowieństwo zbierało się na Synody. Nie ograniczał się jednak bynajmniej do tego tok obrad synodalnych, na nich też zapadały uchwały, wykluczające w tym kierunku kompetencyę Sejmów.

W przeddzień przełomowej chwili zebrali się biskupi w bardzo skąpej liczbie [3]); nie można było powziąć żadnej uchwały, ani przygotować się na blizki Sejm. Postanowił przeto prymas zwoływać odtąd biskupów na Synody pod groźbą oskarżenia lub wygnania, by na przyszłość uniknąć tak śmiesznie nikłych zebrań biskupów, a pragnąc stanowczej postawy episkopatu na nadchodzącym Sejmie, zwrócił się już obecnie do Papieża w sprawie przysłania nuncyusza, któryby uczestniczył w obradach Synodu, projektowanego na czerwiec, roku 1554 [4]).

W źródłach żadnej nie znajdujemy wzmianki, czy Synod zebrał się istotnie w czerwcu. To jest tylko pewne, że Papież nuncyusza nie przysłał. Biskupi, zawiedzeni skutkiem tego w nadziei, szukali pomocy u króla.

W obec milczenia źródeł w sprawie projektowanego Synodu, na podstawie tego, co później zaszło, sądzimy, że Synod ów odbył się, niekoniecznie w czerwcu, zdaje się, że później, — i na nim zapadła uchwała szukania ratunku u króla. Była to konieczność! Biskupi doskonale rozumowali, iż dotąd wiedli bój zwycięski, dzięki tylko swej jurysdykcyi, lecz walka taka wyczerpywała siły i trwać

---

[1]) Łukaszewicz: „Dzieje kościołów wyznania helweckiego na Litwie“, str. 13.

[2]) Acta histor., IX(I.), str. 475. List Hozyusza do Kromera.

[3]) Acta decret. Cap. Crac., V., pag. 179.

[4]) Acta actorum Cap. Crac., pag. 178—179.

długo nie mogła, obawiali się więc, iż utracą moc sądzenia, dlatego chwycili się zręcznego środka oskarżenia rycerstwa, iż z jego strony grozi królowi niebezpieczeństwo. Biskupi prowadzili walkę na dwa fronty, z nowinkarzami i nadużyciami kościelnemi, a skutkiem takiego rozdwojenia sił — obrona ich zostawiała wiele do życzenia. Mieli oni w swem gronie ludzi, pragnących poprawy stosunków tak w Kościele, jak i w państwie i ci należeli przeważnie do stronnictwa reformy. Prócz biskupów członkami tego stronnictwa byli prałaci i kanonicy. Byli też w ich gronie biskupi nie tyle chwiejni w wierze, ile obojętni [1]). Tacy Urbańscy i Drohojewscy nie byli fanatykami religijnymi, ale opierali się najsilniej o partyę rycerską, nie zgadzali się oni na zbytnie mieszanie się Rzymu do polskiego Kościoła [2]) i byli najgorliwszymi zwolennikami idei soboru narodowego. Ortodoksyjni katolicy, w rodzaju Hozyusza, podejrzywali ich, bo dawali pozory, idąc często razem z nowatorami. Zjednoczenia więc nie było, groziło większe jeszcze rozprzężenie, a w ślad zatem szła bezradność i bezczynność. Ratunek był konieczny, pomoc „bracchium saeculare“ nieodzowna i po nią obecnie wyciągnęli ręce biskupi.

W roku 1550 szukał król poparcia u biskupów w sprawie swego małżeństwa, w kilka lat później biskupi wyczekiwali pomocy od króla. Porozumienie nastąpiło jeszcze przed Sejmem [3]). Zgodzono się zwołać sobór narodowy, a na Sejmie w Piotrkowie 1555 r. szło tylko o pozyskanie dla tej myśli stanu rycerskiego. Na takie twierdzenie naprowadza nas list Zygmunta Augusta, datowany z dnia 12 lutego 1555 r., a pisany do ówczesnego Papieża, Juliusza III. List ów rozstrzyga ostatecznie, że o sobór narodowy starali się biskupi więcej, niż rycerstwo. Król skarży się w nim na wzmagającą się walkę religijną i ból ściska serce, że objęła ona i poddanych królewskich, ale da się ona zgnieść bez żadnego na razie przewrotu.

I tutaj następuje ważne oświadczenie:

---

[1]) Liber visitationis Padniewski, f. 147.

[2]) Ljubowicz sądzi, że byli oni przeciwnikami wszelkiego mieszania się Rzymu do polskiego Kościoła (Любовичъ: **Начало католической реакцiй...** str. 12).

[3]) Archivio di Stato. Neapol. Pergamene Nr. 136. Sygn. 1555. 12 Febriccio. List Zygmunta Augusta do Juliusza III.

Qqua propter R-mis in Christo patribus dominis Archiepiscopis Episcopisque Regni mei sicuti in aliis omnibus eius modi difficultatibus, ita in hoc consultioribus usus leniores quaspiam eius contagionis tollendae rationes scrutatus sum, qui re diu multumque cogitata occuratque animo expensa (?) ad mallum istud, sine magno rerum motu tollendum. nihil aeque valiturum esse responderunt (biskupi), quam ut ordinis Ecclesiastici sinodo edicta cum primariis desidii istius s e r m o f r a t e r n a h a b e a t u r.

Z przytoczonego ustępu wynika, że biskupi chcieli tej „sermo fraterna" z nowatorami. a „sermo fraterna" była owym soborem narodowym. Prosząc o nuncyusza. nie spodziewali się biskupi ze strony Kuryi odmowy. Zapewnili zresztą Papieża. że nowatorzy, upomnieni na tym Synodzie. wrócą „in sinum matris Ecclesiae".

Prymas Dzierżgowski szukał pomocy u króla, ale nie na tych warunkach. na podstawie których doszło do porozumienia. Myśl ta nie wyszła od ludzi, ślepo przywiązanych do wiary katolickiej, ani od lękliwego ducha w rodzaju prymasa. ale podniesioną została przez tych. którzy z jednej strony cieszyli się łaską u króla i mirem u episkopatu. z drugiej jednak strony wolnomyślnego byli ducha. Do nich zaliczano Uchańskiego i Zebrzydowskiego — i oni tylko być mogli autorami owej nowości w Kościele katolickim.

Król uważał zgodę na sobór narodowy za ustępstwo na rzecz biskupów, za które zażądał zawieszenia ich jurysdykcyi do czasu zwołania soboru narodowego i spodziewał się, że przez zniesienie jurysdykcyi uspokoją się nowatorzy.

Porozumienie z roku 1555, które ma cechy obowiązujące obie strony, jest zupełnie odmienne od zobowiązań obopólnych z roku 1550. Tam koronacyę Barbary wyzyskało duchowieństwo, a Zygmunt August ustępował pod pręgierzem słów prymasa: „Bodaj mi ręka uschła. będę ja Barbarę koronował" — i wydał przywilej z dnia 13 grudnia 1550 r., który obowiązywał do obecnego porozumienia. Za zgodę na koronacyę Barbary podpisywał król daleko idący przywilej duchowieństwu, zobowiązując się w nim tępić niedowiarków i odszczepieńców, nie przyjmować zarażonych nową wiarą do Rady koronnej [1]. Nadto duchowieństwo „pro domo sua" uzyskało przyrzeczenie królewskie: zawarte w słowach: „...ducho-

[1]) SS. rr. Pol., I., str. 40—49.

wieństwa będę bronił i ich prawa nietykalne, przywileje osobiste i społeczne zachowam i o ile możności obstawać będę. Urzędnikom zaś i starostom wszystkim pod surowością niełaski przykażę, aby nie byli opieszałymi w wykonywaniu rozkazów; karać zaś będę przeświadczonych, iż nie chcieli zadość uczynić ukazom moim... Co wszystko obiecuję pod słowem królewskiem w obec księdza Mikołaja Dzierżgowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i współbiskupów i radziec moich drugich, tak, jakom poddanym moim przysięgał wiarę katolicką przy koronacyi."

Obecne położenie było odmienne! Treść listu, a jeszcze lepiej późniejsze uchwały sejmowe świadczą, iż duchowieństwo nie stawiało warunków, ustępowało i kryło się pod opiekuńcze skrzydła królewskie.

List Zygmunta Augusta do Papieża Juliusza III. z Wilna, z 12 lutego 1555, jest napisany na pargaminie bardzo pięknem pismem kancelaryi królewskiej, niewątpliwie autentyczny, znajduje się dzisiaj w Neapolu, w Archivio di Stato, jako pargamin Nr. 136. Ponieważ Papież Juliusz III. umarł 23 marca t. r., list zapewne oddany został kardynałowi Aleksandrowi Farnesse, bratankowi Pawła III., protektorowi Polski, i pozostał w jego papierach, a po śmierci w archiwum rodzinnem Farnezych w Parmie. Gdy spadek po Farnezych w roku 1735 przypadł księciu hiszpańskiemu Karolowi, owo archiwum przewieziono do Neapolu. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że list Zygmunta Augusta został wyjęty z t. zw. „Carte Farnesiane" i umieszczony w dziale pargaminów.

Biskupi w dobrej wierze ważyli się na nowy krok, i to wówczas, gdy stracili nadzieję w rychłe przybycie legata do Polski, i gdy względy polityczne ich zaskoczyły. W chwili, gdy pisano list, nowatorzy łączyli się i zbierali; są ślady, że w tem łączeniu pomagał książę pruski, Albrecht [1]) i słał na wszystkie ich zjazdy swoich przedstawicieli: w Koźminku był protektorem niejako pierwszego zjazdu ewangelików. Zjazd wspomniany odbył się w połowie roku 1555, ale gwarno nań się przygotowywano i oddawna. Wyprzedził go Synod marcowy nowatorów [2]), a ten nawoływał do jedności i zgody.

---

[1]) Rafał Leszczyński na Sejmie w 1555 roku tytułował księcia pruskiego: „nasz miłościwi pan" (Dzienniki, str. 21, ed. Lubomirski).

[2]) Węgierski: Libri quattuor Slavoniae reformatae. Liber I., str. 75.

Porozumienie przychodziło w samą porę, bo wkrótce wieść o zjeździe w Koźminku rozeszła się po całej Europie. Zachód Europy liczył na tych, którzy uczestniczyli w obradach w Koźminku, a Kalwin nie omieszkał posłać życzeń Braciom czeskim za ich wyciągniętą dłoń do zgody.

Dr. Czesław Frankiewicz.

Mieczysław Romanowski.

(ZARYS KRYTYCZNY).

(Na podstawie źródeł rękopiśmiennych).

(Ciąg dalszy).

IV.

Ma swoich „Konfederatów barskich“ Mickiewicz. „Gladyatorów“ Lenartowicz. „Powódź“ Pol, „Siarczystego smoka“ Ujejski, — miał też swego „Popiela i Piasta“ Romanowski. Wszystkie wymienione tu dramaty, to próby poetów liryków i epików, — wyprawy ich po „złote jabłko“ sztuki, zakończone smutnem doświadczeniem, że i orły nie na wszystkie latają szczyty i nie zawsze obłok chmury przeszywają swym lotem ku słońcu. Bo już to trzeba urodzić się dramatykiem tak, jak znamię poety musi się z sobą na świat przynieść. Pracą dzieła scenicznego, bez poczucia konstrukcyi całej dramatu i życia osób tworzonych — nie można dokonać. Są dowody, że nawet rzetelne w tym kierunku usiłowania spełzły na niczem. Jeden Słowacki mógł się pokusić o laury dramatopisarza, błyskotliwą fantazyą wspierając mistrzowstwo techniki i kultury literackiej. A choć i on nie ostał się zarzutom krytyki, badającej chłodno i rozważnie płody ducha jego, to jednak został na zawsze niedoścignionym wzorem nawet dla takich twórców, jak Norwid.

Mimo to tęskne marzenie ujrzenia tworów swej wyobraźni na scenie nieraz uwodziło jeszcze na manowce szczere talenty.

Uwiodło ono i Romanowskiego, a jakby na domiar złego, kazało mu się zwrócić do prehistorycznych czasów Polski i z nich czerpać natchnienie, inwencyę poetycką i historyczne tworzywo. Wolno to było autorowi „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“, wolno Krasińskiemu w „Wandzie“, a Norwidowi w „Krakusie“, czemużby nie mógł iść za tym wzorem ich uczeń i spadkobierca? Bezsprzecznie. Ale tu jedna była znamienna różnica, której zrozumienie może przyczyniło się do zmiany zasadniczej założeń tragedyi Romanowskiego. To odmienne pojęcie wątku historycznego i zużytkowanie go w twórczości. Kiedy bowiem Słowacki opatrzył Balladynę „ariostycznym uśmiechem“, a radował się, że „tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy“: kiedy powiadał, że wszystko „stworzyło się w głowie poety podług praw boskich“, według natchnienia, co „nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet niewidziane istoty“; kiedy Norwid wreszcie, mimo zastrzeżeń, że tragedye pojmuje jako „uwidomienie fatalności historycznej albo socyalnej, narodowi albo wiekowi jakowemu wyłącznie właściwej“ — wprowadził do swego „Księcia nieznanego“ osoby fantastyczne w rodzaju Źródła i Zorzy i Progu i kazał im mówić językiem żywych, — to Romanowski wszelką fantastyczność, która tak dobrze w jedność się zlewa z legendarnymi czasami, usunął i zapragnął dać historyczną „tragedyę w pięciu aktach“. Już samo niezbadanie początków państwa polskiego zmuszało do opierania się nie na źródłach — ale na podaniach i mytach. Więc naprzód owa legenda o królu Popielu, co to stryjów swych wytruł, a sam zginął, zagryziony przez myszy, wylęgłe z ciał rozkładających się: więc opowieść o kołodzieju Piaście, który królem został; więc w końcu zmyślenie o Lechu, bracie Czecha i Rusa, zakładającym siedzibę nad Gopłem. — Dużo w tem prymitywnej ludowej twórczości, snującej baśń piękną, temat gawędy — nigdy nic tragicznego, tem bardziej, jeśli o prawdziwe, dziejowe konflikty iśćby mogło. Lecz Popiel w rozumieniu Romanowskiego tragicznym być musiał bohaterem czasów swoich, a tragicznym przez to, że nakaz wyższy, los, fatum włożyło mu broń morderczą w rękę i kazało pognębić rodzinę całą, by później pomstą przywalić i jego samego. Nie byłoby tragedyi, gdyby ten Popiel, tak jak wieść gminna każe, został zjedzony przez myszy. Zatem trzeba mu podsunąć walkę serca i duszy ze światem zewnętrznym, trzeba dać mu poznać przepaść, przez którą jest jeden pomost: śmierci. Ztąd odpada

przypadkowy zgon — a jest samobójstwo, rozważone długo i uznane w końcu za wyjście ostateczne. Tu byłoby coś z pojęcia greckich tragedyj. Ale zapytać się wypada, co w tej całej rzeczy robi Piast, gdzie i w czem jego tragedya? Na to pytanie odpowiedzi nie daje utwór, nie dałby zapewne i sam Romanowski.

W każdym razie niema w tem jeszcze historyi i nadarmo przywiązuje poeta do legendy Popiela spór o kmiece rządy i władzę wieców, walkę z Niemcami, niezgodę i waśnie o dzielnicowe podziały. Może dlatego to jest, by w utworze odzwierciedliło się kształtowanie dziejów, intuicyą poetycką stawianych, bo potwierdzenia nie znajdujących ani w Bielowskiego „Wstępie krytycznym do dziejów Polski", ani w późniejszych naukowych dociekaniach. A ścieranie się dwu światów, germańskiego ze słowiańskim, przedstawione pobieżnie, ze sympatyami po stronie Lechitów, a całą zgrozą i pierwiastkiem zła wtłoczonym na ich rzekomych prześladowców. Zaś w tem, w czem można było mistrzowskie osiągać efekty, w napływie nowej wiary w pogańskie puszcze i gontyny — Romanowski cofa się, niewyraźnie tu i tam wspominając, że taka przemiana odbywała się wówczas, że chadzał z dyakonem Św. Metody, postać bezkrwista, operująca komunałami, nie mająca w sobie nic z poświęcenia, siły i światła Bożego pierwszych apostołów słowiańskich.

Podsunięcie pod dramat, ściśle związany z osobą Popiela, rozwoju stosunków społecznych, jest stanowczo chybionym pomysłem. To już ani do tragedyi nie należy, ani do tła historycznego, jeśli w ogóle o takiem mówić można. Ale przyjrzyjmy się kolejom nieszczęsnego króla i śledźmy fatum, czyniące z silnego i pewnego swej mocy włodarza — człowieka zgnębionego i szukającego w śmierci ocalenia.

Oto Popiel, mający za żonę Niemkę, Adelę, królewską swą władzę chce wynieść na szczebel prawdziwej godności samowładcy. By dojść do tego, odbiera dotychczasowe prawo polityczne wiecowania stanom kmiecym. Rośnie ztąd wśród ludzi niezadowolenie — grozi bunt. W tej właśnie chwili wypada Popielowi iść na pomoc gnębionym przez Niemców Zaodrzanom, którzy mają mu później pomódz w zgnieceniu buntu kmieci. Dzieje się atoli rzecz niespodziana. Zwycięzki Popiel nie może zmiażdżyć ostatecznie pokonanych Niemców, gdyż otacza go zdrada stryjów, zazdrosnych o tron królewski. Opór znajduje także Popiel u własnych podwładnych, wojewodów, których musi nawet karać śmiercią za jawne wypowiedzenie posłuszeństwa (Mirosz). Jest więc teraz wszystko przeciw

niemu, jakby się sprzysięgły nań złe moce. Tu pozorne wybawienie przychodzi ze strony Adeli. Ona, sprzyjając Niemcom, nie chce dopuścić za żadną cenę, by przeciw nim wyprawił się raz jeszcze Popiel z zemsty za łączenie się z przeniewierczymi stryjami. Doradza mu więc sprowadzenie książąt do domu, niby to na ucztę, wyprawioną z powodu urodzin syna, i planuje zgładzenie ich za pomocą trucizny lub wciągnięcia w topiel jeziora, nad kroerem był położony zamek. Gdy zamiary te odkryła Adela królowi, on do rycerskiego załatwienia rzeczy przywykły, oburza się zrazu, ale wreszcie ulega podszeptom żony. Dwu stryjów tonie, trzech innych wypija truciznę na godach. Matka królewska, Bożenna, przeklina za to Lechów i w ten sposób spełnia fatalną przepowiednie o zatracie całego gniazda rodowego. Przekleństwo ciąży teraz nad Popielem i zawsze w każdej złej czy dobrej doli paraliżuje jego ruchy. Nawet gdy zwycięża w walce z pozostałymi przy życiu trzema stryjami — z niewiadomych powodów wstrzymuje bój i snują mu się przed oczyma mary zatrutych krewnych, przysłaniając sobą świat cały. Tymczasem wszystko wali się wokół. To wieść o buntach we wszystkich ziemiach, to znów gniew bogów wieszczek odgaduje, to harfiarz Sęp otwarcie w oczy rzuca urągowisko kmieci. Sroży się Popiel — wszystko topi w morzu krwi, gałęzie drzew uginają się pod ciężarem wisielców. A wysuwająca się z rąk króla władzę przejmuje na się lud. Jużby to dostał z woli samego władcy, który siostrę swą, Kalinę, chce dać za żonę Ziemowitowi, synowi Piasta: jużby za cenę tego związku pragnął Popiel ocalić siebie, rodzinę i tron, — ale dumny, a raczej odczuwający powagę kmieci kołodziej odrzuca pakty, podsuwane mu przez Adelę, i koło miażdżące toczy się dalej po pochyłej drodze przeznaczenia. Wojska nieprzyjacielskie i zgraje rozznamiętnionego chłopstwa ciągną przeciw garstce wiernych królowi rycerzy. Nierówny bój nie zapowiada zwycięstwa. Gotuje się zatem „ostatni z rodu Lecha" na pożegnanie ze światem. Jeszcze przedtem kapelana Fuchsa wtrąca w toń jeziora, — jeszcze musi przeżyć śmierć królowej, która wraz z synkiem rzuca się do Gopła. — by w końcu utopić miecz we własnem sercu. Niedość atoli zbrodni. Pada ponadto z ręki Zbigniewa brat jego Jaksa. — Śmierć i zniszczenie wieje zewsząd — i w takiej chwili Piast z woli ludu zostaje królem. Żeńska latorośl rodu Lechów, Kalina, zaręcza się z Ziemowitem. Ponad tem wszystkiem unosi się błogosławieństwo Św. Metodego.

Jeśli o ideę obrazu dramatycznego idzie, to miało nią być plemienne zamiłowanie wolności, wyrażonej przez prawa wieców, o które walczą tak zawzięcie kmiecie. Nie pojmujemy tylko jednego, mianowicie, czemu Romanowski pozbawił właśnie tych „wiecowników“ zupełnego poczucia obywatelskiego, czemu odebrał im zmysł oryentacyi politycznej i losy państwa rzucił w przestwór między niebo a ziemię bez troski o nie najmniejszej. Bo logicznie rzecz biorąc, nie możemy dojść do tego, przez co zwycięża lud, dopominający się słusznie czy niesłusznie, to mniejsza, praw swoich, a nie Niemce? Dlaczego nagle ich siła i zapędy rozbiły się, a na arenę politycznych przemian wszedł kmieć ze swoim Piastem? A już widzimy to niemożebnem, choćby z tego powodu, że ów lud nie ma poczucia swojej z państwem łączności, co okazało się w jego samolubstwie, jeśli tak wolno powiedzieć, wysuwającem kwestyę wieców na plan pierwszy w chwili, kiedy państwu zagrażały najazdy nieprzyjaciół i anarchia w rodzie królewskim. Przecie wówczas całe dzierżawy utonąć mogły na zawsze w morzu germańskiem, a tam ani o wiecach, ani o sejmach, ani o prawach jakichkolwiek mowy być nie mogło. — Zresztą, czemu fałszywą ma być ta historya, która dzieje nie zmyślone, ale faktyczne obrazować miała? Wedle „Popiela i Piasta“ zdaje się, że Polska oparła się o wiece kmieci i tem rosła, wzmagała się w siły, doszła do potęgi. A tymczasem, jak wiemy, to był najsłabszy punkt ustroju państwowego, mszczący się nie raz w ciągu wieków. — Więc idea historycznie jest nieprawdziwa, a jako zmyślenie zbędna a nawet szkodliwa w dramacie dziejowym, jakim miał być utwór Romanowskiego.

Dla przedstawienia zamierzonego obrazu, w którym na pierwszym planie stanął Popiel, jako król samowładny, naprzeciw niego zaś lud, na dalszem tle: walki o koronę w samym rodzie królewskim, i ostatecznie trzecioplanowa cicha, ale najsilniejsza: zapasy o dusze wierne, — dla skreślenia tego obrazu wprowadził poeta legion postaci mniej lub więcej ważnych. W miarę, jak stawały mu się zbędne, nasyłał je na na krwią ociekającego Popiela, który usuwał je ze świata i... z dramatu. Nie jest to przesadą, co mówimy. Wszakci w całych pięciu aktach tragedyi pada tyle trupów, ile w małej potyczce. A wszystko przez... Popiela. On został obwiniony przez poetę, uczyniony zbrodniarzem — nie wiedzieć, dlaczego i przez co. Dumny, rozważny i mądry król z człowieka walczącego zrazu o ideę, staje się od końca drugiego aktu siepaczem i niczem więcej. Już nie pomni na swą królewskość, na maje-

stał, — szarpie się tylko, rzuca i morduje. Po co? Bo jakaś niewiadoma klątwa jest nad całym jego rodem, dołącza się do niej i klątwa starej matki. Ale czy w tem uzasadnienie morderstw, popełnianych przez Popiela, a snujących się nieprzerwanym szeregiem od zabójstwa stryjów, aż po wyrzucenie oknem Bogu ducha winnego kapelana Fuchsa? Czyż musiał sam król własnoręcznie wszystkiego dokonać, — nie mógł z mocy swego prawa kazać to uczynić sługom i rycerzom? Nie chciał tego Romanowski, bo on w tragedyi pragnął widzieć taką zgrozę, któraby czytelnika do żywego poruszyła. Lecz efekt najlepszy można przeciągnąć, można się przeliczyć, co do wrażenia, jaki on wywołuje. Tak tu też się stało. Popiel jest zwierzęciem, rzucającem się w klatce, nie ma w sobie cech wyniosłości i pogardy dla śmierci, jaka znamionuje wyższe umysły. Dlatego woli nawet sam siebie uśmiercić, niż z mieczem w ręce zginąć na placu boju. Takim nie chcielibyśmy widzieć króla, co uosobieniem władzy miał być w dramacie. Raz tylko jest on piękny. To wtedy, gdy toczy walkę z żoną i sobą samym, z własnem sumieniem i sercem o mord nad stryjami. Nie ma lepszej i piękniejszej sceny w całym obrazie, jak ta właśnie. Popsuł ją jednak samowolnie poeta, przeciągając zbyt długo skrupuły drażliwego sumienia. A już nie do darowania jest włączenie tego momentu, w którym to niby wspaniałomyślny Popiel truciznę mającym w sobie książętom daje miecze, by tuż przed skonaniem walczyli o ostatnie swe tchnienie. Jest zresztą ów Popiel figurą niekonsekwentną, bo znienawidził stryjów za zdradę i podstęp, jakim chcieli go zabić, sam zaś taką bronią się posługuje, stosując ją nie do kogo innego, jeno do tych stryjów właśnie. A jako król, chociaż walczy dla dobra państwa, nie umie o nie dbać, nie mając żadnej polityki, prócz miecza. Więc to nie żaden władca, lecz zwykły rycerz, dobry na podkomendnego, nigdy na kierownika nawy państwowej. Gdzieżby bowiem który panujący równocześnie zaczynał walkę na trzy strony, walczył po za granicami, skoro w domu miał pożar? — Chęć przedstawienia zatem różnorodnych stosunków Polski legendarnej, która złączyła różne elementy w całość kompozycyjną i wszystkie w jedną chwilę powołała do życia — wydała też króla, zajmującego się wprawdzie wszystkiem i na wszystko czas mającego, ale bez prawdopodobieństwa, że taki istniał i mógł nawet istnieć.

W przeciwstawieniu do „ognistego“ Popiela, cichym, skromnym i bladym jest Piast. O nim niewiele dowiadujemy się z tragedyi. Jest zwolennikiem wieców, nestorem ludu, jest mężny, umie

nie w miarę uparty, w miarę nawet wyniosły (scena z Adelą, której odmawia przyjęcia ręki Kaliny dla syna Ziemowita). Jak na rolnika przystało, trzyma się ziemi i z nią związanych bogów. Co do spraw wiary jest naiwny, są mu one prawie obojętne. Ztąd obok starych bóstw i krzyż św. Metodego przyjmuje, i równie przed tym nowym Bogiem, jak i przed starymi, będzie się kłaniał, bo zbyt prostą jest jego natura, by potrzebowała zrozumienia jakiegoś wyższego światła, mocy zaziemskiej. Manekinem w ręku kmieci wydaje się nam ten kołodziej, a wrażenie to potęguje jeszcze scena ostatnia, kiedy on, obwołany już królem, chce uciekać, nie wierząc w to i nie czując się na siłach do spełnienia tej misyi. Może najlepiej rozumował ze wszystkich, gdyż takie mając przymioty, w jakie go Romanowski wyposażył, — na władcę się nie nadawał.

Pierwszą rolę po tytułowych bohaterach ma Bożenna. Jest matką króla, wdową po władcy, a mimo to nie wyzbyła się tych cech, jakie z pochodzenia swego ludowego wzięła. Sympatyami swemi też zwraca się ciągle ku kmieciom — w zamku obok syna jest obcą, zimną, nawet wrogo usposobiona względem tego, któremu życie dała. Jest jakby ucieleśnieniem tych złych mocy, co sprzysięgły się na zagładę Popielowa — wyraża nawet je słownie, rzucając klątwę, która stała się zaczynem rozdwojenia duszy króla i przyczyniła się do jego zatraty. W tej roli demona zniszczenia, narzuconej jej bez żadnych do tego danych — w uczynieniu Bożenny mściwą ręką przeznaczenia poszedł Romanowski tak daleko, że zagubił doszczętnie linię jakiegokolwiek charakteru, pozbawiając ją uczuć matki, ludzkości wszelkiej i poczucia własnego stanowiska. Nie poznalibyśmy też, gdyby nas o tem nie uprzedził poeta, że mamy przed sobą rodzicielkę Popiela, że to rodu królewskiego członkini. Przypuszczalibyśmy raczej, że to czarownica jakaś, przychodząca „uroki rzucać" na wojownika, by moc odebrać orężowi jego. W takiej roli byłaby może na miejscu. Niemożliwą jest też psychologicznie przemiana, jakiej ulega Bożenna po śmierci syna. Odzywa się w niej tkliwość, jakiś sentyment. Zkąd — odgadnąć nie łatwo. Może całun śmiertelny to zdziałał? Nie przypuszczamy, gdyż ciągle od początku niemal samego, jak puszczyk wołała o ruinie rodu, z lekkiem sercem ściągała gniew bogów na głowę jedynaka, — wierzyła w moc słów swoich i ich spełnienie. Nielogiczną byłaby, gdyby widząc dzieło dokonane, stała się inna. A myśleć nie można, że poprzednio działała pod wpływem chwili, lub w gniewie, bo zbyt długo się to ciągnęło wszystko, by na

rozwagę czasu nie miała, albo też nie uświadomiła sobie, do czego to zdąża. Była pozatem tak konsekwentna i tak stała w swej zatwardziałości, iż nic jej zmiękczyć nie mogło. Śmierć chyba nielubianego syna — wcale na to wpłynąć nie powinna była. Nie ma więc charakter Bożenny jednolitości — i w jednej osobie są jakby dwa typy: pierwszy, którýby nazwać należało δεσποινα, drugi — kobieta-matka. Czy to godzi się razem i czy to możliwe — to rzecz inna.

Dramatycznie najsilniejszym łącznikiem i „spiritus movens“ wszystkiego jest Adela. Są w jej sercu dwa serca, w duszy jej dwie dusze. Jedne dla uczuć tylko osobistych — i te są wzniosłe, — inne dla ogółu — i te są groźne, złe, rozbestwione. Tak chciał autor dlatego, ponieważ całem ukochaniem swojem był przy tej postaci, kiedy wyposażał ją w miłość dla męża i macierzyńskie przywiązanie dla dziecka, — wszystkie przywary dał jej zaś wówczas, gdy charakteryzował jako Niemkę, jako córkę rodu, nienawistnego Lechitom. — Czemu nie uczynił jej uosobieniem dobra i ręką opiekunczą Popiela, — czemu z jej serca nie zrobił zacisznej przystani dla nieszczęsnego króla? Odpowiedź na to znajdziemy w rozwiązaniu przyczyn owego fatum, któremu miał ulegać Popiel. Nikt inny nie mógł mu podsuwać zgubnych planów, doradzać rzeczy przewrotnych, popychać do zbrodni, jak ta, której miłości zaufał, i która wyłączny wpływ nań miała. A ona właśnie była Niemką. Germanie zaś, według pojęć poety, musieli wszyscy bez wyjątku tchnąć złośliwością ku Słowianom i w tem jest wytłumaczenie, że i Adela taką jest, a nie inną, jako Niemka. Lecz mimo to, że Romanowskiemu się tak wydawało, my przecie nie możemy rozdzielić żony od królewny niemieckiej, jeśli jedna i druga była taż samą Adelą. Kto był w zaraniu swej młodości, jak „kwiat biały“, kto później na takie uczucie serdeczne mógł się zdobyć, jak Adela dla synka swego, kto ratować chciał męża przeprowadzaniem poniżających układów z Piastem, ten — jest to stanowczo niemożliwe — nie mógł ze stoickim spokojem siedzieć przy uczcie, na której truto stryjów, — nie mógł bez zadrgania ręki wlewać trucizny do ich pucharów. Przecie pierwsze przymioty oparte były na etyczności i uczuciach familijnych. Czemuż zbrakło ich potem? Nienawiść rasowa i plemienna nie zmienia etyki, nie czyni ludzi dobrych zbrodniarzami.

Reszta osób, a jest ich sporo, nie ma w sobie nic charakterystycznego. Stryjowie, uosobieni według jednego szablonu, rysują się słabo: Kalina, Rzepicha i Ziemowit ledwo z grubsza, w kilku

niewprawnych liniach naszkicowani. Inne figury, to podrzędne role, na których wykończeniu samemu autorowi nie wiele zależało. Św. Metodego tylko powinien był Romanowski uczynić czemś, a nie zostawić takim cieniem, który się błąka po scenie bez świadomości celów swoich i zdecydowanych zamiarów.

Doszukiwanie się w niektórych postaciach symbolu lub alegoryi, porównywanie stosunku Zaodrzan do Popiela z narodem polskim i Napoleonem — jak to czynili niektórzy sprawozdawcy (H. Maurer) — nie wytrzymuje krytyki. Nie miał tego na myśli autor „tragedyi", bo gdyby tak było, umiałby to silniej podkreślić, jak zwykł czynić w gawędzie i poezyi lirycznej.

Akcya dramatu początkowo prowadzona jest dobrze. Dwa akty wzbudzają nawet prawdziwe zainteresowanie. Trzeci, z wyjątkiem sceny między Adelą i Piastem, jest już znacznie słabszy, akcya przeciąga się zbytnio, więcej, niż to można było w kulminacyjnym punkcie. Akt czwarty i piąty są chybione, a wszystko, co następuje po śmierci Popiela, jest jakby doklejone do głównego zrębu tragedyi. Przytem nic się tam właściwie nie dzieje, słychać tylko wiele słów zacnych, poczciwych, ale śmiertelnie nudnych, śkoroby się je deklamowało ze sceny. Różne momenty różnym podobać się mogą, — toż nie czynimy wyliczania, które miejsca nam w całości wydają się pięknemi. W każdym razie przyznajemy, że znaleźć można kilka scen bardzo efektownych i dobrze pomyślanych z punktu scenicznego (akt I., 5, 9; II., 8; III., 6, 8, 11, 14, 15; IV., 9).

Nieco naiwności i przesady jest w rzucaniu pewnych powiedzeń, które o ogólnych zasadach ludzi tych czasów i o poglądach ich mówić miały. Szczególnie odnosi się to do Fuchsa, który z całą powagą twierdzi, że „nikomu złego nie pisano w niebie za śmierć poganów" (t. III., str. 137), lub, iż „tylko za chrzczonych potępienie czeka". Kapłan chrześciański, nawet Niemiec, opierając się na wskazaniach wiary, takich słów i takich nauk dawać nie mógł. Widać w tem tylko zaślepienie — nie chcemy powiedzieć: szowinizm, z jakim odnosił się Romanowski do wszystkiego, co obce.

O wpływach na tragedę Romanowskiego pisano już nie raz (Niewiarowski, Maurer, Pini), robiąc zestawienia ze Słowackim i Schakespearem. Mimo widoczne rozczytywanie się w dwu tych dramatykach, nie można jeszcze — zdaniem naszem — mówić o wzorach i naśladownictwach. Szczęściem, gdyby one były. Bo ze Słowackiego mógł wziąć poeta lekkość, swobodę i sposób opracowania takich na legendzie opartych tematów, gdzie rzeczywistość

łączy się z fantastycznością rozwiewną, eteryczną niemal. — od Szekspira zaś powinien był uczyć się zwartej kompozycyi, sprawnego prowadzenia akcyi i scenery. Niebyby był na tych „wzorowaniach“ utwór nie stracił, a owszem, zyskałby z pewnością niejedno.

Wiele błędów wytknęliśmy Romanowskiemu w dramacie jego tak kompozycyjnych, jak i treściowych, nie wynika atoli z tego jeszcze, byśmy mu odmawiali danych na dramatyka, pisarza o wielkiem poczuciu dyalogu i sceniczności w dramacie. Miał on przebłyski wielkiej sprawności technicznej, obliczonej na efekt dla widza, choć ją miejscami sam psuł przedługiemi oracyami i mowami. Wyzbyłby się tego z czasem napewno, element gawędziarski, który w nim tkwił, ustąpiłby miejsca większej zwartości i lapidarności. Znać to już w drugim niewykończonym dramacie p. t. „Wanda“, opartym na konflikcie dwu braci Kraka i Lecha. Zarysowany w pierwszym akcie spór o władzę, uwydatnienie natur obu adwersarzy: Kraka — szczerej, żywiołowej i prostej, oraz Lecha — cichego, z zarzewiem zawiści i zazdrości — jest tak zwięzłe, tak pewną ręką uchwycone, że ten pozostały fragment pozwala przypuszczać, iż Romanowski kiedyś, jako dramatyk, byłby stanął wysoko. Możeby jeszcze nie nastąpiło to w samej „Wandzie“, ani w zamierzonych dramatach o Stańczyku, Glińskim i Marfie Posadnicy [1], bo trudno, by w takich utworach, w których był krępowany materyałem historycznym, mógł swobodniej poruszyć się, puścić wodze nie tyle pracownikowi, odtwarzającemu dzieje dawne, — ale poecie, twórcy prawdziwemu, co scenę ożywia postaciami własnej inwencyi i fantazyi. Niewolnicze trzymanie się wzorów i wiernej treści, przejętej ze studyów nad przeszłością, — jest znamieniem niedorostu jeszcze sił twórczych. Bo kiedy ten jest, wówczas nawet na przekór prawdzie i badaniom, na przekór wszystkim archiwaryuszom — wypowiada się poeta (tak, jak to czynił n. p. Słowacki), pamiętając tylko o tem, że ma dać obraz, jaki wyczarował w swej duszy, — widział oczyma serca. Prawa twórcy są ponad ścisłość filozofów i sumienność szperaczy — i tem są cenniejsze, im mniej mają w sobie szablonu, zbliżania do szarej prawdy dni powszednich. Dlatego Słowacki wyższy od Szujskiego, choć w nim nie znaleźć tej erudycyi i znajomości historyi, nie szukać wystudyowania wszystkich akcesoryów z premedytacyą i wżyciem się w epokę, w czasy i ludzi.

---

[1]) ob. cz. I., str. 88.

Ale cokolwiek przysłość przyniosłaby Romanowskiemu i co potomność po nim już zrobiła, to nie zmienia stanowiska jego. jako pisarza dramatycznego, w szóstem dziesiątku stulecia na gruncie galicyjskim. On stanowczo tu wówczas był największy i nikt z nim laurów nie dzielił. Ani Anczyc, ani Pol, ani Ujejski, ani Szujski płodny i rozważny, lecz zimny i sztywny. Przyczyn tego nie szukać dalej, jak w poetyckiem usposobieniu Romanowskiego. Od autora „Chłopów arystokratów“ miał on śmielsze loty, większą samodzielność i... aspiracye wyższe. Twórca „Powodzi“ i Ujejski ze swoim „Grzelą“ nie rozumieli, na czem polega dramatyczność, zaś uczony dramatopisarz „Jadwigi“ i „Zborowskich“ był tylko pisarzem, nie poetą. To im przeszkodą się stało we wzięciu szturmem publiczności teatralnej.

Jeśli na względzie mieć będziemy ten stan literatury galicyjskiej, w takim razie, mimo wad, jakie znaleźliśmy w dziele Romanowskiego, możemy powtórzyć za Kraszewskim pochwałę „Popiela i Piasta“, że ma on „ton wyborny, prostoty pełen i wzniosłości“ [1]). Tem chętniej piszemy się na te słowa autora „Miodu kasztelańskiego“, że nie zaprzeczają one usterek i niedociągnień, jakie odkryliśmy przez analizę pierwszego i ostatniego dramatu Romanowskiego.

---

[1]) ob. cz. I., str. 89.

STANISŁAW LAM.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“